

Dwie modlitwy

---











# DWIE MODLITWY

---

---

Krakow, — Druk W. L. Anczyca i Spółki



BIBLIOTECZKA ILLUSTROWANA

---

ADAM SZYMAŃSKI

---

DWIE MODLITWY

SRUL Z LUBARTOWA

MACIEJ MAZUR

---

Z ilustracyami A. Kamieńskiego

WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

1897



Дозволено Цензурою.

Варшава 8 Апрѣля 1896 г.



463173

I  
DWIE MODLITWY



## I.

Dawno, bardzo dawno temu — naturalnie, dla mnie, gdyż dziś jak przez mgłę pamiętam te czasy — w jednej z największych świątyń Podlasia, usłyszałem po raz pierwszy w mem życiu harmonijny i potężny śpiew chóralny męski. Świątynia, napełniona zbitą masą ludu, pieśni, spływającej z chóru lawiną palącą, wtórowała głosem wielkim, przechodzącym w łkanie, zamierające w cichym, coraz cichszym, wreszcie ledwie słyszalnym jęku błagalnym.

Drobne ciało moje drżało jak w febrze, rozpalone czoło przykładałem do zimnej podłogi, i składając i wyciągając ręce do Boga, prosiłem Go, żeby ucichł ten jęk, rwący me serce dziecinne, żeby ci ludzie na chórze nie śpiewali tak żałośnie, żeby im weselej i radośniej było na świecie. »Zmiłuj się, zmiłuj, Panie«, powtarzałem z taką wiarą i ufnością, że po każdym wezwaniu mojem z zatajonym oddechem oczekiwałem, że, ot, ot, zagrzmi głos do pioruna podobny i głuszając modły błagalne, uciszy jęki bolesne i radosna pieśń Narodzenia, tryumfujące »Alleluja!« Wielkiej Nocy balsamem spłynie z chóru na tłumy modlących się ludzi.

Już zamilkły ostatnie jęki; osta-







tnie westchnienie tysiąca piersi echem stłumionem z pod wysokich sklepień spada na głowy modlących się, przygniatając je ciężarem ogólnego bólu; zgięte do ziemi, korne postacie unicastwiają się prawie; głów ludzkich nie widać w świątyni, tylko oczu tysiące z głów tych wpijają się w obraz Boga i zanoszą ostatnią niemą prośbę do Niego.

Najsłabsze echa modłów i westchnień ludzkich giną w głębokich sklepieniach i cisza straszna, cisza grobowa zda się, zapanuje w świątyni, i wiernych tysiące, ich jęki i prośby, staną przed próżnią, rozplyną się w nicestwie... zginą... niesłyszane...

Strasznej tej chwili boi się człowiek i kojącymi dźwiękami mu-

zyki podtrzymuje swe słabe siły; milczą więc usta zaciśnięte, zgniecionej piersi nie wznosi już westchnienie, ale tam... w górze... rozlegają się miękkie, łagodne dźwięki i falując wśród sklepień wysokich, tłumione oddechami ludzkimi, schodzą na dół do głosów żywych podobne.

I jęczy i płacze metal martwy pod ożywczem dotknięciem palca ludzkiego, i w dźwięki, wydarte niegdyś z piersi silniejszej niż pierś tłumu, wsłuchuje się tłum ten, jak w swe własne, błaga i prosi z nową ufnością, i ukojony sztuką artysty, silny nową wiarą, łzy wylewa nareszcie, we łzach tych ulgę znajduje.

Na tę chwilę jak gdyby czeka chór śpiewających, bo zaledwie

zjawia się na twarzach ludzkich perły niedoli człowieczej, za ledwie zajaśnieją one na słońcu swą czystością nieskalaną, potężna skarga bije znowu ku niebiosom, pali serca nowym płomieniem.

I znowu jęczą usta ludzkie, kożą się czoła i chylą ku ziemi ciężarem westchnień z piersi zbolących gniecione.

Jęczę i ja z niemi; modłę się jeszcze goręcej, jeszcze błagalniej wyciągam ręce do Boga surowego, jeszcze dłużej zatrzymuję oddech, oczekując cudu widomego; ale milczy Bóg, pryskają nadzieje dziecinne, a chór wzywa do nowej modlitwy, pali jeszcze silniejszym płomieniem.

— Boże mój, Boże, kiedyż się skończy ta modlitwa okrutna?

Czuję, że siły mnie opuszczają, że dłużej *tak* się modlić nie mogę. Koło mnie modli się ojciec ukochany, tulę się więc do niego; on mnie jak zawsze pocieszy... Ale ojciec, choć nachyla się ku mnie, nie widzi mnie, widocznie, bo po twarzy jego łzy płyną i ja czuję tylko i słyszę jego szept gorący.

— Módl się dziecię! módl się, jedyne, i nie zapomnij tej modlitwy wielkiej!

A chór nie widzi mnie tembardziej, i jęczy i płacze nowym bólem. Modlę się więc znowu; wszystkie swe myśli i czucia skupiam na prośbie jedynej; pot kroplisty występuje mi na czoło, zatamowuję oddech jeszcze dłużej i czekam... czekam napróżno!...





Bóg milczy, a chór zawodzi nową skargę.

Straszno mi teraz, i duszno i gorąco nadzwyczaj!

— Boże mój, Boże, czemuż nie słuchasz nas tak długo?!

Pała jak w ogniu głowa moja; śpiew chóru, dźwięki organu, jęki i westchnienia ludzkie zlewają się w uszach moich w szum chaotyczny, bezładny. Szum ten przechodzi powoli w jakiś huk miarowy, z początku wolniejszy, później częstszy, z początku bliższy, później dalszy, do łopotania skrzydeł wielkich ptaków podobny; sinawy dym kadzideł czerwienieje mi w oczach i myśl, że prośby nasze nie dochodzą do Boga, jasnym promieniem oświeca moją głowę zmęczoną. Podnoszę oczy

do góry i z krzykiem rzucam się do ojca.

Tam w górze, wstrzymywane wysokimi sklepieniami świątyni, jak stado ptactwa, zbierającego się do odlotu, kłębią się i huczą, prośby ludzkie; przez wąskie okna świątyni przedzierają się smugi światła słonecznego i ku nim, ku słońcu cisną się kłębamii czerwonawe, krwawe, jęki i bóle człowieka...

— Tato, tato! chodźmy modlić się... tam, do słońca, tam usłysz nas Bóg wielki, tam, nic nie zatrzyma prośby naszej...

. . . . .









## II.

Zima 18.. roku rozpoczęła się w X., jak w całym kraju jakuckim, niezwykle wczesnie. Już w końcu sierpnia przymrozki zwały wszelaką zieloność i poczerniałe, ogołoczone ze swej krasy przyrodniej, przestrzenie wielkiej doliny, w której leży miasto, przedstawiały się teraz oku człowieka niezwykle ubogo.

Nędzne jurty, żadnych budynków, nic podobnego choćby zdaleka do ludnej i tak wesołej na jesieni wsi naszej. Tęsknota do kraju w czasie tej wczesnej choć



krótkiej jesieni, pierwszy raz sta-  
nęła przede mną w całej swej  
przerazającej grozie.

W połowie listopada zaczęły się  
znakomite »sorokowiki« \*), często  
bez przerwy trwające przeszło dwa  
miesiące. To też choroba, której  
uległem, rozwijała się prędko i  
jeszcze na długo przed owymi  
»sorokowikami« wycieńczyła mnie  
zupełnie. Jako nowicysz w po-  
dobnego rodzaju sprawach, po-  
pełniałem tymczasem mnóstwo  
takich rzeczy, które same przez  
się nie będąc niedorzecznymi, przez  
człowieka doświadczonego są tu  
praktykowane w pewnej bardzo  
ograniczonej mierze. Wszyscy ci,  
którzy byli chorzy na nostalgię,

---

\*) Sorokowiki — mrozy 40-stopniowe,

starannie unikają wszystkiego, co mogłoby wywołać chorobę: niechętnie mówią o swej przeszłości, milczą uparcie, gdy rzecz zachodzi o kraju, okazują w ogóle dla wszystkiego, co powinno im być drogie, dziwną, niezrozumiałą obojętność. Naturalnie obojętność ta jest pozorną. Z początku nie rozumiałem tego zjawiska. Później dopiero, gdym pobyt tu dłużej, zrozumiałem jak rozpaczliwym pancerzem ci, na oko zupełnie zczerstwiali i zobojętniali ludzie okrywali swe piersi zbolełe, z jakim wysiłkiem przedłużali swe istnienie na ziemi; zrozumiałem, że obojętność owa — to swego rodzaju heroizm, prawda, mały i niebłyszczący, jak każdy heroizm niedoli, ale zawsze heroizm.

Tym to puklerzem obojętności i pozornego zapomnienia okrywają się tu ludzie różnych stanów i kategorii; jedni czynią to z mniejszem, drudzy z większem rzeczy czynionej rozumieniem, jedni z mniejszą, drudzy z większą wytrwałością. Szczególniejszą jednak siłą woli, z ludzi pozornie zobojętniałych, bezwątpienia wyróżniają się ludzie wiejscy — chłopi.

Długo, długo trzeba krzesać, nim się iskrę z chłopa rozżalowanego dobędzie; ale za to iskra ta, gdy wyleci, błysnie ci przed oczyma takim płomieniem, że aż je zakryjesz od blasku lub otworzysz z przerażeniem.



Z ciężką chorobą mocowałem się już kilka miesięcy, i dzień wigilijny zastał mnie w chwili, gdy ku wszystkiemu, co swojskie, biegłem już z tym uporem nie-  
szczęsnym, z którym myśl pijaka biegnie ku wódce, myśl szalonego ku idei wyłącznej. List, odebrany przed kilku dniami z widocznym symbolem dnia dzisiejszego, opłatkami, pokruszonym w drobne kawałki, dolał oliwy do ognia. List ten odczytałem niezliczoną ilość razy, i jeżeli teraz biegał z kąta w kąt swego pokoju, jak wie-  
wiórka w swem kole zamknięta, myślałem już nie nad listem samym. Wszystką truciznę wywołanych przezeń wspomnień z gorączkowym pośpiechem, bez chwili odpoczynku, piłem w ciągu osta-

tnich nocy bezsennych, i wyobraźnia moja, wyczerpana, zmęczona, nie szła już dalej. Dzień, który wywołał tyle wspomnień, sprawił mi tyle cierpień, nadzedł; chodziło mi o to tylko, jakby urządzić się wieczorem tak, aby wypić do dna kielich zdradliwej słodyczy, otoczyć się atmosferą, któraby choć na krótką chwilę, choć zdaleka, przypomniała przeszłość bezpowrotną, i podsuwając nowe, realne, choćby najgrubsze obrazy, podsyciła wyścieńczoną wyobraźnię, dała jej karm dla nowych widziadeł, nowych halucynacyi.

W X. było wówczas parę polskich domów, prowadzonych dość otwarcie, a w jednym z nich czy też w dwóch nawet urządzano



wigilię, dziś jednak być tam nie mogłem. Domyślić się łatwo, że dziś chciałem się wyrwać z dusznych ramek konwencyonalizmu i poza granicami »towarzystwa« spędzić wieczór wigilijny.



Jeżeli wieczorem, w czasie mrozu wielkiego, przechodząc przez puste ulice X., dojdiesz do końca ulicy Kozackiej, znajdziesz się w punkcie, skąd jak na dłoni przedstawi ci się mniejsza dzielnica miasta, oddzielona od głównego grodu, w tem właśnie miejscu, starem, zamulonem łożyskiem rzeki. Im bardziej mróz ci dopiecze, z tem większą przyjemnością zatrzymasz się na tym punkcie, aby ucieszyć się wido-

kiem, który stąd się roztacza. Mnóstwo jaśniejszych i bledszych, silniejszych i słabszych światełek widnieje tu zawsze, nawet przez mgławicę śnieżną. W kraju bezludnym, pustym, widok większego siedliska ludzkiego jest tak pociągający, że nie przechodziłem wtedy ani razu, aby nie nakarmić oczu tym tak widomym dowodem siły i żywotności człowieka. Znam tu już każdy dom. Najbliżej błyszczą jasnym światłem domy bogatszych kupców i urzędników, dalej podobne do jurt domy kozackie, jeszcze dalej dom szewca i dyaczka zarazem, kuźnia Jana Piętrzaka, jeszcze dalej, ledwie widzialne z poza szyb z lodu, błyszczą słabe światełka z jurt jakuckich i poza niemi — koniec

życia, bezbrzeżne śnieżne obszary.

O jakże zimno tam być musi! jakże opuszczonym, jak słabym czuje się człowiek samotny wśród tych obszarów, zaspanych śniegiem, błyszczących lodem, czerniejących tajgą ponurą, ziejących mrozem, mrozem i tylko mrozem!

To też pamiętam to dobrze, drgnąłem i serce uderzyło mi silniej, gdy jakoś parę tygodni temu, zatrzymawszy się jak zwykle na wzgórzu, ujrzałem po raz pierwszy, jak z pustej przestrzeni, zaczynającej się za jurtami jakuckimi, słaby, słabiutki ogień błysnął mgławcem światełkiem, znikł i pokazał się znowu. Przywidzenie czy co, u Pana Boga. Nie wie-

rzyłem oczom własnym, przetarłem je raz i drugi; ale ogień sierocy, daleki, odcięty od siedzib ludzkich, migoce coraz wyraźniej.

Długo stałem tu wówczas, nim domyśliłem się nareszcie, że to straszny, wyklęty dom, dom z przestachem wymijany przez ludność miejscową, świecił ogniem samotnym. W domu tym kiedyś, przed laty, konali ludzie chorzy na ospę\*), ale do dziś każdy z miejscowych mieszkańców prędeej zmarznie, niż wejdzie do tego domu. Do-

---

\*) Ospa jest tu chorobą nierównie straszniejszą, aniżeli najstraszniejsze cholery azjatyckie u nas. W czasie epidemii ospy wymierają doszczętnie całe liczne, bo po kilkaset głów liczące rody. Ospa więc wzbudza w mieszkańcu tutejszym przestach nieo-

myślić się więc już w żaden sposób nie mogłem, ktoby tam odważył się rozniecić ogień w nocy. Przechodził właśnie Jakut jakiś koło mnie, zatrzymałem go więc, i wytłómaczywszy, jak mogłem, o co mi chodzi, zapytałem czy nie wie, skądby się ogień wziął w dawnym szpitalu. Jakut słuchoał mnie uważnie, dopóki nie rozumiał, o co się pytam, ale jak tylko pojnować zaczął, cofnął się o krok, dwa, trzy, a gdy następnie zrozumiał zupełnie, zdjął czapkę i wrzasnąwszy głosem

---

pisany, i domy szpitalne po chorych na ospę z zabitemi drzwiami i oknami stoją zwykle niezajęte. Ponieważ zaś w domach tych chorzy, właściwie rzeczy biorąc, nie leczą się, lecz umierają, więc przestrach, który wzbudzają, jest uzasadniony.

niehumanym: »Kabyś abasã!« \*)  
uciekł przerażony.

Na drugi dzień dopiero dowiedziałem się, że w domu zadżumionym kilku Polaków, ludzi bez jutra, nie mających dachu nad głową, zamieszkało na stałe. Czasami, choć nie na długo, tulili się tu także i tacy ludzie, których losy chwilowo tylko pozbawiały właściwego przytułku.

W taki to sposób, poza miastem, w opuszczonem pustkowiu uformowała się mała kolonia, składająca się z ludzi dwóch typów: stałych i czasowych pustkowieńskich mieszkańców. W pustkowiu tem bywałem dość często i teraz

---

\*) »Kabyś abasã« — idź precz szatanie.  
W języku jakuckim akcent pada zawsze na ostatnią sylabę.

oto po dość długim namyśle wigilię postanowiłem przepędzić tamże.



Około godziny piątej wyruszyłem z domu, zdając się na łaskę i niełaskę mrozu, który, gdyby tchnął swym zabójczym »chijusem«, wbrew wszelkim z góry ułożonym planom, mógł mnie weгнаć do najbliższego znajomego domu, ale na szczęście moje, choć mróz był piekielny, cicho było jak w grobie. Straszny »chijus« nie wyszedł jeszcze ze swych kryjówek biegunowych i powietrze stało nieruchome, zastygłe. Dzięki tej okoliczności bez szwanku dotarłem do miejsca.

W dwóch nieopalanymy poko-

jach, przez które przejść musiałem, aby się dostać do mieszkalnej części domu, ostro i przeźliwie dźwięczało echo śniegu, skrzypiącego mi pod nogami; wydawało mi się nawet, że zimniej tu jest niż na dworze. Okna zabite były deskami, więc w ciemności nieprzejrzaney utykałem co chwila to na garnek rozbity, to na inne sprzęty połamane, ale choć z hałasem rozbijały się graty, głośno piszczały zardzewiałe zawiasy, nikt z będących tu ludzi nie wyjrzał nawet, nikt nie zwracał na to uwagi. Wchodzę nareszcie do mieszkania ludzkiego.

W dużym pokoju nie o wiele, jednak widniej, niż w pustych stancyach, przez które tylko co









przechodziłem. Cienka łojówka na niskim warsztacie szewckim, słabo oświeca zaledwie jeden kąt pokoju. Przy warsztacie pracuje dwóch ludzi.

Siedzący bliżej wysoki i chudy mężczyzna, szewc z urodzenia niejako, wbija w podeszwę wprawna i pewną ręką sztyfty drewniane. Dostał się on do miasta niedawno, ale ma już roboty dosyć i w pustkowiu napewno długo się nie zasiedzi.

Drugi, siedzący dalej, mężczyzna ze śliczną męską twarzą, znacznie niższy od p. Józefa, wyrównywa i wygładza obcas, ale powoli, bez owej szparkości, z którą pracuje p. Józef. Dość spojrzeć na twarz niższego szewca, aby, będąc najzapaleńszym prze-

ciwnikiem wszelkich teoryi o rasowości ludzkiej, odgadnąć, że człowiek ten nie przy warsztacie siedział nigdy.

Rzeczywiście, p. Jan Horodelski był nigdy słuchaczem medycyny, później... ale o tem, czem on bywał później, i we dwa wieczory-by nie opowiedzieć, teraz od lat już pięciu jest on szewcem, i powiedzmy prawdę otwarcie, szewcem-pijakiem. Nałóg jego nie pozwala mu nawet pomyśleć o zaprowadzeniu własnego warsztatu, więc też tułał się on po wszystkich warsztatach tutejszych, pracując cudzem narzędziem i ciężko mu bardzo. Za naczynie każdy właściciel pobiera znaczny procent, i nawet pan Józef niewiele podobno odstąpił mu od ceny

pobieranej przez innych majstrów.

Harda to niegdyś i rogata była dusza, ale życie starło ją i wdep-tało w takie błoto, z którego wy-chodzą cało dusze nie tylko piękne i szlachetne, ale i silne zarazem. Horodelski nie miał tej mocy, której nie gną żadne burze i był dziś stałym mieszkańcem pustko-wia. Jego dni na ziemi są poli-czone; rozum, oświata, które po-siadał niegdyś, dają mu teraz zu-pełną świadomość swego położe-nia i jaką napełniają goryczą, o tem zapewne nikt nigdy nie do-wie się na ziemi.

Czy to piętno zagłady, wyryte na jego czole, czy też może inne głębsze przyczyny nadają twarzy jego szczególny wyraz. Powiedzia-

łem wyżej, że twarz ta była piękna męską pięknnością, i dodać winieniem, że tchnęła ona łagodnym, miękkim wyrazem, który jest szczytem kobiecej piękności, i napiętnowana była nieopisanym jakimś smutkiem. W obejściu był on inny trochę; i sposób wyrażania się, i maniery, często zdradzały wpływ otoczenia, w którym oddawna się znajdował; często, ale nie zawsze, mógł on jednak zapanować nad sobą i wtedy na twarzy jego zjawiała się nowa cecha człowieczeństwa, jeszcze nie startego zupełnie: rumieniec wstydu nad położeniem swoim.

Szewcy, gdym wszedł, jak przystoi ludziom pracującym, nie poruszyli się nawet na swych stołkach; rozebrałem się więc i oczy-

ściłem z namarzłego lodu w milczeniu, i dopiero, gdym podszedł ku nim bliżej, podniosły się obie nachylone głowy, witając mnie przyjaznym uśmiechem. Pan Józef, ze względu na sztyftów parę, trzymanych w zębach, podał mi rękę, mruczając coś nieokreślenie, i puścił ją natychmiast w ruch automatyczny; Horodelski po przywitaniu obejrzał obcas jeszcze nieskończony, i stawiając but na ziemi, wyrzekł z westchnieniem: »I dieło s koncom« \*). Było to ulubione przysłowie jego.

— Co skończone? — zapytałem jednak.

— Wszystko — brzmiała również stereotypowa odpowiedź.

---

\*) I sprawa skończona.

— Tylko nie obcas — mruknął pan Józef, wyjmując ostatni sztyft z zębów.

— A właśnie, może i obcas, jeżeli, rozumie się, nie rzucę tej ruiny przekłętej i nie wrócę znowu do dyaczka — odparł żywo Horodelski.

— A czy tu panu źle, czy co? — przekomarzał się pan Józef. — Warsztat chwala Bogu dobry, naczynia dosyć, a i pokojów, choć kotrydansa wywijaj.

Ale Horodelski nie słuchał i ciągnął dalej:

— Tak, bardzo być może, że rzucę to szewctwo moje, jeżeli tylko póki czas do dyaczka się nie przeniosę. Rzucę, bo szewc ten oto dowiódł mi czarno na białem, że psu na budę nie zdało



się to rzemiosło moje, że partaczem jestem i szewcem tylko u dyaczka partacza być mogę.

Pan Józef zachychotał wysoce zadowolony, i już się zabierał do odpowiedzi stosownej, gdy bas poważny:

— Cy u djacka, cy nie u djacka, a siewcem nigdy pon nie bandzie — przerwał mu w chwili najważniejszej.

Bas wychodził z ciemnego kąta tegoż samego pokoju; spojrzałem więc tam uważniej.

Na tapczanie dość niskim siedział ze spuszczoną głową, ustawicznie z lulki pykając, chłop okazały, zwykle Bartłomiejem, rzadziej Bartkiem owczarzeni zwany.

— Dlaczegoż nie? — zapy-

tałem, witając się z mówiącym.

— Dlatygo ni, — odparł Bartłomiej — ze nijakie stworzenie od przeznacynia swoigo ucic nie moze; ni pies sukom, ni baba chłopem nigdy nie bandzie.

— Przecież to co innego zupełnie?

— Ono widzi się tak tylo, co insego, a w rzeczy jedno, bo choćby ja som na ten przykład: od roboty, juz i nie mówićby mi o tem, nie uciekam, a nie idzie mi przecie. A dlacygoj? Dlatygo, ze nie przy swojej robocie stojem. I choć pracuję, nie piję, marnieję jak ta owca na słocie, i zmarnieję taki, bo i terom juz bardzi do psa na weselu, niżli do cłeka podobny, tylo wesele to nijakie.

Ono i odrazu tak mi się poka-  
zało, jakem tyło tu przysed. Bo  
cy to nie dziw prawdziwy? Zie-  
mia tako wielga, rzyki ni to mo-  
rza, góry nie Łysicać przecie,  
łąki, trawy do pasa i kraj taki  
przez owców! Mądre ci som chło-  
py, choćby i owcarze nase, i za-  
dać i zdjąć urok umiejom, i li-  
karstwa na co, na co, choćby i  
no upór babski tyz majom; a po-  
wiedzieć, ze je ziemia wielga przez  
owców, ze owcarzowi marnieć tu  
wypadnie — nie uwierzom!

Bartłomiej, jak to łatwo do-  
myśli się każdy, był czasowym  
mieszkańcem pustkowie. Chłop  
to był wielkiej zacności, ale fa-  
talność jakaś ciążyła nad nim;  
pracowity, uczciwy, nigdzie je-  
dnak nie mógł znaleźć zajęcia

któreby mogło uwydatnić jego przymioty, zwrócić nań uwagę. Niedawno przybył on tu ściągiony obietnicami jakiegoś dostawcy; obietnice nie ziściły się i Bartłomiej, korzystając z chwilowego przytułku, oczekiwał tylko, dopóki nie spadną trochę mrozy, aby wyruszyć w odwrotną drogę. Chłop to był poważny, sensat prawdziwy. Gadaniny częściej nie lubił i głos rzadko zabierał, ale za to jeżeli odezwał się kiedy, to nie inaczej tylko kategorycznie, stanowczo, bez apelacji. Jako przedstawiciel klasy, będącej od dawien dawna kastą prawie i to dość uprzywilejowaną, był on konserwatystą zapalonym, reform żadych w społeczeństwie nie dopuszczał: »pies — psem,

baran — baranem«, było maksymą jego. Autorytet swych przewodników moralnych podniósł do kultu religijnego prawie i odezwać się przy nim z czemś, coby choć zdaleka autorytetu tego dotykało, nie zawsze było rzeczą bezpieczną.

— Kto mówi? — zapytywał Bartłomiej w takich razach groźnie.

I gdy nie był bardzo rozdrażniony, a mógł się hamować, wysuwał swe pięści potężne przed nos mówiącego i wymawiał powoli:

— Kpy mówią!...

W drugim również wielkim pokoju znajdowało się jeszcze dwóch stałych mieszkańców pustkowia: ślusarz Porankiewicz i ex-obywa-

tel, niegdyś jaśnie wielmożny,  
p. Feliks Babiński.

Jeżeli Horodelski był człowiekiem, stojącym na skraju przepaści, to Porankiewicz stoczył się już oddawna na samo dno takiej. Gdyin wszedł, dłubał on coś około swego stolika, nazwę warsztatu noszącego. Błady, chudy i drobny, jeszcze drobniejszy wydawał się wskutek pochylego trzymania się; chodził tak zgięty, że zapewne rzadki starzec przewyższał go w tym względzie.

— A wyprostujże się pan choć raz! — mawiałem mu nieraz.

— Chi, chi, chi! — śmiał się dobrodusznie Porankiewicz — ziemia, ziemia, kochany panie, wyprostuje już mnie chyba. Od dziesiątego roku życia przy warszta-

cie, od rana do nocy, to i stał się wygnie powoli.

Życie tego człowieka było prawdziwą Odyseją, on tylko biedaczysko Ulissesem nie był nigdy. Złe losy obegnały go po wszystkich ziemiach syberyjskich, i dogorywać wypadło mu w najgorszej.

Babiński, gdym wszedł, spał; wstał jednak, usłyszawszy naszą rozmowę. Wysoki, barczysty, był on silny fizycznie, a jego twarz ciemna, okolona czarnym jak węgiel zarostem, z wielkimi nastroszonemi brwiami, miała zawsze wyraz surowy. Rozrzewnionym nigdy go nie widziałem, i tylko gdy go coś bardzo za serce chwyciło, mrugał powiekami niezwykle prędko i rękę po wódkę wy-

ciągał. W pracy niezmęczony, mógł i umiał pracować i jeszcze do niedawna jak wół pracował. Od lat dwóch dopiero pić zaczął na zabój. »Abo go co trąciło, abo feler jaki ma w sobie« — mawiał o nim Bartłomiej. — Ginie więc teraz, zda się, bezpowrotnie, chociaż przy sprzyjających okolicznościach może jeszcze i wyjdzie z przepaści, w którą się stacza, bo człowiek to silny niezmiernie.

Są w Rosyi konie pociągowe, bitiugami zwane, czarne, złe, rosłe i silne niezmiernie. Idzie sobie bestya taka krokiem równym, miarowym, bez cienia wysiłku, a zapytaj, ile ciężaru na teledze?— 60 pudów co najmniej, a często i sto ciągnie.



Babiński do bitiuga był podobny, i chodził tak nawet, jak bitiugi chodzą. Gdy pójdzie, bywało, krokiem wielkim, posuwistym, nigdy mu nie nadążysz. Wszystkie zakupy z miasta: chleb, mięso, wódkę on zawsze nosił, bo nikt tak prędko nie chodził i nikt tak mrozu, choćby największego, nie znosił.

Twardy to człowiek okrutnie, a ile ciężaru ciągnie nieraz za sobą, nigdy się nie domyślisz — »bitiug« prawdziwy! Miał on prócz tego jakiś spryt szczególny, który go już nieraz z toni prawdziwej ratował; on to zajął pustkowie i był gospodarzem de jure, a co jeszcze dziwniejsza, umiał odnaleźć Jakutkę brzydką jak piekło, ale uczciwą, jak tylko dzicy lu-

dzie bywają, która zgodziła się być kucharką w kolonii. Eudoksyja tedy była szóstą duszą w pustkowiu.

Nie wszyscy mieszkańcy pustkowiea zgodzili się odrazu na uroczysty obchód wigilii. Bartłomiej i co dziwniejsza Horodelski, opierali się najdłużej. »Nie i nie! — upierał się Horodelski — wódki mogę wypić, ile chcecie, zjem co dacie, ale wigilia? Nie!« I dopiero gdy niezwykła wymowa, którą rozwinął Porankiewicz, zmięczyła upór Bartłomieja, ustąpił odrazu i Horodelski.

Babiński, jak to zwykle w takich razach bywało, wyruszył bez zwłoki po zapasy, i żywo powrócił z miasta z mąką, masłem,

»pępkami« \*) i gąsiorkiem wcale okazałym. Zakąsiwszy więc potrosze i zakropiwszy co najzjadliwszego robaka, wyszliśmy do pierwszego pokoju, aby nie przeszkadzać przygotowaniom, które Eudoksya pod kierunkiem Porankiewicza prowadzić miała. Dumny on był niezmiernie z okazanego mu zaszczytu, i z odrzuconą w tył głową, jak zawsze gdy usiłował trzymać się prościej, spoważniał niezmiernie, a był tak wzruszony, że prawie zupełnie stracił dar mowy, wypuszczając zamiast słów jakieś chrząkanie nieokreślone, które, z początku szczególnie, dławiło go zupełnie.

---

\*) Pęпки od ruskiego »Pupki« są to brzuszki solone z wielkich i tłustych ryb poławianych w Lenie; jedzą się jak śledzie.

Chrząkanie ucichło nareszcie, i tylko łupanie drzazeg, wybijanie ciasta i skwierczenie masła w kuchni dawały nam znać, że owładnąwszy wzruszeniem, Porankiewicz skierował wreszcie sprawy kuchenne na właściwą drogę.

I w pierwszym pokoju gwarnej się teraz zrobiło; Bartłomiej i Horodelski, popuściwszy sobie wodzów, rwali już teraz z kopyta; zaczęły się przypomnienia, wyliczania, po ile to lat niektórzy nie widywali żadnej wigilii, a gdy Bartłomiej zauważył, że wartoby było »ochędoźnie trochę zasiąść do tycho świętych godów«, zaczęło się ogólne mycie i przebiekanie, jak gdyby na bal jaki wybierali się wszyscy.

Pan Józef tedy wysunął zabój-

cze kołnierzyki, aż do połowy policzków dochodzące, wdzięcznym fontaziem z chustki kracia-  
stej szyję swą ozdobiwszy.

Bartłomiej wydobył ze skrzynki jakiś węzełek niewielki i szpera-  
jąc w nim długo, wyciągnął ka-  
wałek rzadziuchnej kraśnej wstą-  
żeczki, próbując nawiązać ją na  
szyi, ale bezskutecznie. Zgrubiałe  
i odwykłe ręce nie słuchały go  
wcale, i wstążeczka wymykała się  
mu z palców. Wtedy Bartłomiej,  
zwabiony widać wdzięcznym fon-  
taziem szewca, zwrócił się doń  
z prośbą: »A niech-no pon i mnie  
ot tyz!« Szewc wziął się do ro-  
boty, lecz czy to wziął się nie-  
dbale, czy też mruknął coś o bła-  
hości ozdoby, bo dopiero gdy  
Bartłomiej wymówił pocichu: »A

dyć to jescej z domu« — szewckie »Aaa!« zabrzmiało innym tonem, i Bartłomiej, przeprowadzony do światła, otrzymał fontaż, z którym »choć w zalicanki idź śmiało«. Bartłomiej chodził z fontażem, jak gdyby kij połknął, ale za to gdy jeszcze i Babiński przypiął wykrochmalony kołnierzyk, a Horodelski wyciągnął jakąś odwieczną zakietkę, nad której plamami biedził się z pół godziny, zewnętrzny wygląd całej naszej kompanii harmonijnie licował z jej uroczystym wewnętrznym nastrojeniem. Całej, powtarzam, bo gdy wkrótce drzwi sąsiedniego pokoju otwarły się naościęż, zjawił się w nich Porankiewicz, również świątecznie przybrany: w długim wytartym surducie, i choć

z mniejszym kołnierzykiem, ale za to z fontaziem wcale nie gorszym od szewckiego.



Porankiewicz chrząknął raz jeden i drugi, chrząknął wreszcie i trzeci, i przytrzymując jedną ręką drzwi, drugą zaś wyrażając nam wszystkim atencję głęboką, wyrzekł uroczyście:

— Kolacya gotowa, proszę do stołu!

Widok, który nam się po wejściu okazał, był tak niespodziany, że wszedłszy, stanęliśmy jak wryci.

Przy ścianie wewnętrznej pokoju stał stół niemały, przykryciem białem, jak należy, nakry-

ty — przykryciem, przez którego dziury wyglądało siano, na stole leżące. Stół był oświetlony dwiema świecami, w lichtarze blaszane dobrze pogięte wetkniętymi; na jednym końcu stołu umieszczona została wielka miska z przyjemnie i wonnie dymiącą kupą ładnie podrumienionych »oładi« \*), na drugim końcu znajdowała się miska z »pępkami«, octem i pieprzem przyprawionymi, około miski leżał chleb i stał gąsiorek naczyniem drobniejszym a różnorodnym otoczony.

Na samym zaś środku stołu, na jedynym, niegdyś białym a dziś żółkłym i poszczerbionym tale-

---

\*) »Oładie« coś w rodzaju naszych racuszków, tylko z praśnego ciasta.



rze leżały okruszyny z przysłanego mi opłatka.

Ani przykrycia białego, ani siana, ani opłatka nikt się nie spodziewał; więc też wrażenie wywołane tyłu niespodzianemi akcesoryami było potężne.

Porankiewicz, wysoce zadowolony z efektu, wysunął się teraz naprzód, i zbliższy do stołu, wziął ostrożnie talerz z opłatkiem, i prostując się, aż mu w krzyżach zatrzeszczało, chrząknął, usta otworzył, i gdy wszyscy z najżywszą cieka-



wością oczekiwali całej oracyi, wyrzekł drżącym głosem słów czworo:

— Panowie! Opłatek wprost z Warszawy...

I Złotousty nie przemówiłby silniej.

Już bowiem niecierpliwi zbliżali się do stołu, już ponętny zapach »oładi« górować zaczynał nad powagą chwili niedawnej, ale gdy słów tych czworo rozległo się w pokoju, cisza zapanowała grobowa, jakoś mimowoli wyciągnęli się wszyscy w szereg jeden, i tylko głów pięcioro zwróciło się ku talerzowi.

Porankiewicz wyprostował się znowu.

— Hm, hm! Panowie! Świętość taka...

— Poświęcony?! — z radosnym

podziwem przerwał lękliwie Bartłomiej.

— Spodziewam się! innego-by nie przysłali — z głębokiem przeświadczeniem odparł Porankiewicz. — Ale — ciągnął dalej — hm, to jest chciałem powiedzieć, gdy jest świętość taka, więc się podzielimy?

— Podzielimy! a juści podzielimy! — ust pięcioro wyrzekło jakby jedne usta.

Porankiewicz zrobił nowe usiłowanie, aby stanąć prościej.

— Gdy zaś, to jest, chciałem powiedzieć, nie ubliżając kochanemu panu Babińskiemu — i skłonił się mu uniżenie — wszyscyśmy w tych oto pałacach gospodarze, więc spodziewam się, to jest myślę, najlepiej będzie, jeżeli pan

jako gość nas wszystkich obejdzie ..

I ponsowy cały, spocony jak po pracy największej, oddał mi talerz z ukłonem.

Wziąłem talerz i zbliżyłem się do Babińskiego.

I teraz dopiero, gdy mi samemu mówić wypadło, zrozumiałem, jakiego wysiłku potrzebował mój poprzednik dla swych oracyi króciutkich; ręce moje trzęsły się, usta zamknęły zupełnie. Babiński zbladł, aż zbiełał, i gdym podszedł do niego bliżej, surowa twarz jego zjawiła się przede mną nieruchoma, jak z marmuru wykuta, i gdyby nie to, że powieki zalatały mu zawzięcie, myślałbym że to trup, nie zaś żywy człowiek stoi przede mną. Zbierał długo



okruszyny, ale te wypadały mu ustawicznie, i wątpię, czy wziął choćby jedną...

Z innymi było toż samo.

Porankiewicz, jako człowiek najmniejszego serca, pierwszy zasłochał jak dziecko, i choć Bartłomiej, stojący za nim, krzepił go szturchaniem i ujmował prośbami rzewnymi: »Cichoj, bracie, cichoj, bo ryknę jak baran!« — nic to nie pomagało. Więc też kiedyś podszedł do Bartłomieja,

siły już go opadły: nisko schylił swą głowę osiwiałą, i wyciągając rękę po opłatek, zaczął głośno, powoli:

— W imię Ojca... i Syna... i Świentygo... i Świentygo, — powtórzył ciszej i... ryknął głosem wielkim...



Łzy nam wszystkim ulgę przyniosły, wszystkim oprócz Babińskiego, który wśród płaczu ogólnego stał jak skamieniały, oczyma tylko mrugając, — i dopiero widać, gdy mu dopiekło do żywego, ponieważ znajdował się blisko stołu, wyciągnąwszy obie ręce pomiędzy naczynie pomniejsze, około gąsiorka będące, zadzwonił szkłem dość głośno. Powieki mu latały i ręce trzęsły się

jeszcze, jak w febrze, tak, że sam użyć ich nie mógł, i tylko gdy Porankiewicz już uspokojony, poskoczył do niego bliżej, szepnął mu głosem słabym:

— Nalej, bracie!

Porankiewicz jął nalewać, i ręk, ile było, wyciągnęło się ku stolowi.

Nalać odrazu wszystkim, rozumie się, nie można było, a że każdy pragnienie czuł dość silne, więc wymówki słyszeć się dały, że wcześniej o nalaniu nie pomyślano, wymówki, które jednak odrazu przeciął Bartłomiej, mądrze zauważywszy, że: »nie Duchci nikt święty aby mógł wiedzieć, że załość taka sroga zrazu na całuński naród nadyndzie«. Gdy nareszcie naczynia wszystkie napeł-

niono, bojąc się nowego rozrzewnienia, wychyliłiśmy je w milczeniu, z kolei przystąpiwszy do słonych i pieprznych »pępków«. Pokarm to taki, że bez stosownego odwilżania dużo go nie zjesz, więc gdy Porankiewicz ujął za gąsiorek powtórnie, znowu ręce wszystkie ku niemu się wyciągnęły, i tu dopiero zauważyliśmy, że ręki Babińskiego pomiędzy naszymi nie było.

Babiński stał, jak poprzednio, z naczynkiem opróżnionem, ale milczący, nieruchomy, zbiełały. Pierwszy Bartłomiej, jako z chorymi praktyk niemały, dostrzegł niebezpieczeństwa, i żywo skoczywszy ku Babińskiemu, obejrzał go troskliwie:

— Sidem suchych boleściów,



widno, ściśło go zrazu! — brzmiała konkluzya ostateczna — a bez słozow zadławiom-ci boleści takowe cłeka, jak wilcysko jagniaka. Je jeden ratunek: jak ci z wierzchu bez ślipie zale srogie nie spłynom, spuścić je trza we środek, i kieź ściekom pomaluśku, dławienie od syrca odstąpi. Trza mu było odrazu wypić do trzech raz; ale to nic jesce: chłop krzepki, to odyndzie potrochu!

I wybrawszy naczyńko pokazniejsze, Bartłomiej zakomenderował:

— Lejże Porankiewicz!

Porankiewicz nalał, Babiński wypił automatycznie; nalał znowu i Babiński wypił znowu; ale wi dać boleści nie odchodziły, bo Bartłomiej zaczął nowe oględziny.

— A cy od wypadku nie mata gdzie spirytusu trocha?

Babiński skinął głową z potwierdzeniem, i gdy spirytus odnaleziono, Bartłomiej wybrał z pomiędzy naczyń szklankę zwyczajną, i nalawszy dobrą połowę, podał Babińskiemu.

Lekarstwo podziałało cudownie. Babiński pił małymi łykami, a gdy wypił, bladość ustąpiła mu z twarzy, usiadł przy stole i zakąski zażądał; podsunięto mu »pępki«, i gdy wszyscy naocznie przekonali się, że pępki znikają z należyłą szybkością, kamień ciężki spadł nam z serca. Bartłomiej z popisu swego był teraz nie mniej dumny, niż Porankiewicz z wigilii; więc wzruszeni godność sobie wzajem świadczyć

zaczęli, a gdy Babiński, zjadłszy »pępków« funtów ze dwa, jeść przestał, pierwszą krytyczną chwilę wigilii szczęśliwie przebyto.



W pustkowiu huczało teraz jak w ulu; mówili wszyscy, i choć wszystkim się zdało, że mówią głosem zwykłym, gwaro tu było, jakby nas było ze dwunastu.

Błogość pożądana ogarnęła wszystkich, i zrobiło się każdemu tak rzewnie na duszy, że i smutki niedawne, i bóle zastarzałe, i rany, które każdy chował przed światem, jak skąpiec nie chowa skrzyni dukatami nabitej, otwarły się, aby przyjąć balsam pocieszenia.

I widma cierpień wielorakich

sunęły przed nami pasmem długim, nieskończonem, ukazując nam jak w kalejdoskopie wszelaką niedolę człowieczą.

I ulgę pożądaną otrzymawszy, widząc wokół twarze łzami współczucia zroszone, szedł każdy dobrowolnie z niemocą swoją, i wyznawał grzechy swoje; była więc między nami jakby spowiedź publiczna ze skruchą szczerą uczynioną.

Bił się w piersi swą ręką potężną Bartłomiej, obwiniając o krewkość zbyteczną; szlochał Porankiewicz, prosząc żałośnie, aby mu wobec przejść ciężkich, które przewyższały słabe siły jego, nałóg dzisiejszy wybaczone; obwiniali się i inni.

I dopiero, gdy skruchę i żal

okazał każdy, i absolucya zupełna tym, którzy się spotykali na drodze ciernistej, wracała utraconą godność ludzką, — zżółkłe i pomarszczone twarze rozjaśniła radość szczerą, dziecinna, śmiało podniosły się opuszczone źrenice — byliśmy teraz wszyscy sobie równi. I chwilę drugą, nie mniej krytyczną niż pierwsza, również szczęśliwie przebyto.



Nastała chwila trzecia.

Harmonia, która pomiędzy nami zapanowała, błogie uczucie wzajemności, braterstwa i wspólności, dreszczem rozkosznym przenikać nas zaczęły, zwiastując chwilę pożądaną.

Ów kielich słodczy, który ma-  
mił i łądził nas tylokrotnie swym  
czarownym napojem, ów haczysz  
zabójczy, do którego jak ptactwo  
w noc ciemną do ognia, cisną się  
ludzie z życiem tutejszem nie o-  
byci, od którego jak od widma  
śmierci uciekają ludzie w życiu  
tutejszem doświadczeni, ów kie-  
lich stał przed nami niczem już  
nie okryty. Spadły jedna za dru-  
gą zasłony, okrywające truciznę  
ponętą; należało przystąpić i pić,  
pić do zupełnego się wyczerpania...

Pierwszy zagrał na cudnych  
strunach wspomnień rodziunych  
Bartłomiej stary, roztaczając nam  
na złocistej kanwie swych pól  
sandomierskich obrazy pełne siły,  
prostoty i wdzięku.

Z rozwianym włosem bieleją-

cym, rozognioną twarzą, wzrokiem natchnionym, jak stary prorok biblijny, ukazał nam najpiękniejsze ziemi rodzinnej niwy, łąki i lasy. Wiódł do siół, pod strzechę wieśniaczą; bolał nad niedolą, pod tą strzechą zagnieżdżoną, prowadził do świątyń Imię Pańskie sławiących.

I stał się cud pożądaný: cel pragnień zatajonych, śniony na jawie nocy bezsennych, ziścił się. Ziemia daleka, powietrze rodzinne, słońce złociste były tu pomiędzy nami w ciemnym pokoju pustkowi... My widzimy tę ziemię, czujemy ją, dotykamy... tu osadziliśmy ją całą! Tu umailiśmy ją zielenią, tu okrasiliśmy ją kwieciami, tu ozdobiemy ją ozdobą najpiękniejszą — sercami, tylko dla

tej ziemi bijącemi, i trzymać tu będziemy oblubienicę swoją... dopóki ją utrzymać zdołamy wszystkich swych sił wytężeniem...

Czyż to nie praca?...

Praca... ale niech Bóg was od pracy takiej uchowa! Silni ludzie podejmowali ów kamień Syzyfa, i dziś tylko kości bielejące po cmentarzach, garść pijaków, tułających się po »kabakach«, kupka waryatów, dogorywających po szpitalach świadczy, że kamień ów nie do podniesienia, że im wyżej go wtoczysz, nierozumny, z tem większą siłą zdruzgocze on twą głowę szaloną . . . . .

Szał ogarnął nas wszystkich; i z krwią nalanemi oczyma, rozdętymi nozdrzami, sercami, wy-



skakującymi z piersi zbolałych, podjęliśmy pracę niehumaną.

I biada teraz śmiałkowi, któryby się ośmielił dotknąć brutalnie złudzenia naszego! Biada nieszczęśliwemu, który nie będzie miał siły i osłabnie przedwcześnie! Przed śmiałkiem, nim się opamięta, błysnie nóż, ujęty ręką, która nigdy noża nie dotykała. Nieszczęśliwiec zginie, jak giną owe zwierzęta słabsze, co padając w stadzie oszalałem, są przezeń bez litości tratowane.



...Chór z sześciu głosów złożony brzmi echem rozgłoszonym w wielkich pokojach pustkowie. Pieśni smutne i radosne idą biegiem naturalnym w tym porządku nie-

odmiennym, z którym wszystko spełnia się na świecie. Jeden Bartłomiej, bywalec po ziemi krakowskiej, ze swymi krakowiakami za dwóch starczy. Samo »Albośwa to jacy tacy«, mogłoby nasycić najzapaleńszego zwolennika rozkoszy wokalnych, tyleśmy je razy prześpiewali, ale iluż to z pomiędzy nas nie słyszało tej piosenki nie pięć, nie dziesięć, ale dwadzieścia lub i więcej lat nawet! Więc chociaż chrypnie już Bartłomiej, po raz piąty, ogólnym zapałem pobudzany zawodzi:

I kozicek, a stalowy, wyostrzony,  
I do pochewki włożony,  
I fajeczka, i krzesiwko,  
Na to dobre przyodziewko,  
Kochajze mnie moja dziewczko,  
Do kolusinecka  
Moja kochanecka!

A czy gorsza druga strofka: »I portecku na śnurecku do ściągania« i t. d.? Nie tylko nie gorsza, ale ładniejsza, więc powtarza się raz szósty i siódmy nawet. Zapał nieopisany wywołuje każde słowo tej pieśni, wdzięcznej i poetycznej swą prostotą naiwną. »Eech! co za pieśń! oto pieśń!« wrywają się krótkie pochwały, i Bartłomiej choć zawodzi bez przerwy, wodząc wokół tryumfującym wzrokiem, nadaża na każdy wykrzyk taki odpowiedzieć krótko, ale wyraziście:

— Krakoska!...

Babiński łowi każdą nutę nowej piosenki lub pieśni, i wygrywa ją jak pozytywka, powtarzając dyszkantem niezmiernie wysokim, dwie sylaby tylko: »dy-

na, dyna, dyna, dyna», i tak bez końca. On jednak śpiewa z największym zapamię, a silny ogromnie i ogniem wewnętrznym palony, straszny on teraz ze swemi pieśniami bez słów, w które wkłada wszystkie swe bóle i żale, nigdy słowami nie wypowiedane.

Wyczerpano i wyśpiewano narzeczcie wszystkie pieśni przez nas znane; więcej nic nikt nie pamięta; ale szal, który nas ogarzał, doszedł teraz zenitu, musi więc być pieśń nowa, pieśń której słowa i motywy, dając ujście niepomiernej wezbranemu uczuciu, odpowiadałyby ogólnemu nastrojowi.



W pieśniach największych naszego narodu, smutnych i radosnych, bolejących i weselnych, ale wspaniałych i wielkich głębią i spokojem uczucia, znajdujemy ujście pożądane — w pieśniach religijnych. Ubodzy to ludzie, którzy w pieśniach tych nic nie słyszą, nic nie czują. Pieśni wielkopostne, wielkanocne i Bożego Narodzenia — to największy spadek artystyczny, jaki nam przeszłość przekazała. Jedyna to sfera naszej twórczości artystycznej, na którą nie oddzielne warstwy, nie oddzielne epoki, ale składał się naród cały, w ciągu wszystkich wieków swego istnienia, wkładając weń całą duszę swoją, wszystkie swe radości i bóle ziemskie.

I mamy też skarbnicę melodyi

głębokich jak dusza narodu, której nigdy uczucia miałkie i drobne nie poruszają, wielkich, jak wielkiem jest na ziemi istnienie, wiekami zmroczone.

Rzuć w tę głębie, ile chcesz smutków najczarniejszych, radości nieokiełznanych, nie zmącisz jej i z wierzchu nawet; na pioruny niebieskie odpowiada ona głuchem swych wód warczeniem, jednym taktem, zmienionem tempem zaznaczając je za ledwie!

Ze skarbnicy tej dotąd nie ocenionej należycie, zaczerpną kiedyś wielcy mistrze przyszłości, jak dziś czerpią z niej ludzie prawdziwie bolejący.



Któż nie zna powszechnej u nas pieśni religijnej: »Gwiazdo morza«? Pieśń ta jednak w niewielu, zdaje się, kościołach jest śpiewana na nutę, na którą tu ją śpiewaliśmy. Zanucona bez słów, dziwnie przypadła nam do serca; śpiewaliśmy ją tedy do końca. I słowa i melodia odpowiadały uczuciom naszym. Proste słowa pieśni były jakby dla nas napisane; swojski motyw nuty uroczystej i wzniosłej, kołł piersi tak srodze przez nas samych poranione. Bartłomiej pierwszy upadł na kolana, za nim poszli inni, i popłynęła z ust naszych modlitwa szczerą i gorącą, a gdy doszliśmy do słów: »Odwróć od nas głód, mór ciężki, zachowaj krwawej wojny«, modliliśmy się z takim

przejęciem, że słysząc nie słyszeliśmy, i widząc, nie widzieliśmy, jak się podniósł Bartłomiej płaczący:

— Oj, nie usłysz Ociec litościwy — takiej modlitwy wielkiej z tej jaskini zapowietrzonej! Do Pana przestworzów niebieskich na przestworzu pomodlić się trzeba! zawołał i jak stał, wyszedł z pokoju.

Ale siły nasze już prawie wyczerpane, już nawet Babiński przestaje czasami śpiewać, i tylko usta otwarte i ręka takt wybijająca wskazują, że w duszy swej śpiewa on jeszcze, gdy za drzwiami rozlega się głos potężny, elektryzujący nas znowu:

Bóg się rodzi, moc truchleje!



To Bartłomiej przyprowadzony przez Eudoksyę »z przestworzów«, wśród których zmarłby niechybnie, kolenduje swym basem potężnym.

Nowe źródło, jeszcze dziś nie-  
tknięte, wytryska przed nami!  
A myśmy o niem zapomnieli?!  
Więc choć usta zaledwie poruszać  
się mogą, pijemy chciwie z nowej  
krynicy, i chór zgodny z nową  
siłą zawodzi pieśń nową. Radosna  
pieśń Narodzenia Pańskiego unosi  
nas znowu daleko za jakucką  
ziemię, nowym ogniem, ogniem  
wiary, ufności i nadziei serca na-  
sze rozpalając.

I modliliśmy się długo i go-  
rąco; nawet Eudoksyja, modlitwą  
naszą pociągnięta, weszła ku nam,  
ze świętym obrazkiem, biła przed

nim pokłony i powtarzała błagalnie: »Tangara! Aj, Tangara! Aj, Tangara, uruj« (Boże, wielki Boże, zmiłuj się).



II

SRUL Z LUBARTOWA





Było to w roku... ale mniejsza o rok, dość że było, a było w Jakucku w początku listopada, w kilka jakoś miesięcy po moim przyjeździe do tej stolicy mrozów.

Ciepłomierz spirytusowy Reaumur wskazywał 35 stopni zimna. Ze strachem więc myślałem o przyszłym losie mego nosa i uszu, które, jako niedawno przywiezione z zachodu, dotąd zawsze dotkliwie dla mnie znaczyły swój protest cichy przeciw aklimatyzacji przymusowej, a dziś właśnie miały

być wystawione na przydłuższą próbę. Groziła im ta próba, ponieważ parę dni temu w szpitalu miejscowym umarł jeden z członków naszej kolonii, Kurp, Piotr Bałdyga i dziś rano mieliśmy oddać mu ostatnią usługę: złożyć w ziemi zamarzłej jego sterane kości.

Czekałem tylko na jednego ze znajomych, który miał zawiadomić mnie o czasie pogrzebu; czekałem niedługo i zabezpieczywszy najstaranniej nos i uszy, podążyłem za innymi ku szpitalowi.

Szpital był za miastem.

W podwórzu, trochę opodal od innych budynków, stała szopa niewielka — trupiarnia.

W tej to trupiarni leżało ciało Bałdygi. Otworzono drzwi, weszliśmy i wewnątrz na całej naszej







garstce przykre wywarło wrażenie; było nas z dziesięciu, może kilkunastu, i wszyscyśmy mimowoli spojrzeli po sobie: staliśmy wobec rzeczywistości zimnej i nagiej, nie okrytej żadnym łachmanem pozoru... W szopie, nie mającej ani stołu, ani stołka, nic okrom ścian, ubielonych śnieżnym szronem, na podłodze śniegiem zasypanej, leżał również ubielony, zawinięty w jakieś prześcieradło czy koszulę, ogromny, wąsaty trup. Był to Bałdyga.

Ciało zmarzło okropnie i aby łatwiej je włożyć w przygotowaną już trumnę, przysunięto je do drzwi, ku światłu.

Nigdy nie zapomnę twarzy Bałdygi, którąm ujrzał teraz w świetle dziennem, oczyszczoną ze śnie-

gu. Surowe oblicze nacechowane było dziwnym jakimś, nieopisanym, bólem, a z szeroko otwartych oczu wielkie źrenice, zda się z wymówką sterczały het daleko ku mroźnemu, surowemu niebu.

— Zmarły był chłop zacny, — opowiadał mi tymczasem jeden z sąsiadów, widząc wrażenie, jakie na mnie wywarł widok Bałdygi, — zawsze był zdrow i pracowity, więc zawsze przygarniał i przytulał koło siebie kogoś z biedniejszych; tylko że to i uparty był, jak Kurp', więc wierzył do końca, że wróci nad Narew. Widocznie jednak, przed śmiercią zrozumiał, że tak nie będzie.

Włożono tymczasem skamieniałe zwłoki do trumny, postawiono na małe, jednokonne sanki



jakuckie, i gdy krawcowa W., pełniąca w danym razie, jako praktyk religijnych świadoma, obowiązki księdza, zaintonowała donośnie: »Witaj Królowo nieba w smutku i radości«, podtrzymując ją urywanymi głosami, ruszyliśmy ku cmentarzowi.

Szliśmy prędko, mróz krzepł i zachęcał do pośpiechu. Jesteśmy nareszcie na cmentarzu, rzucamy po grudce zmarzłej ziemi na trumnę, kilkanaście wprawnych ude-

rzeń rydlem... i po chwili tylko mała, świeżo usypana, kupka ziemi świadczy o niedawnym jeszcze istnieniu Bałdygi na świecie. Świadczyć jednak będzie niedługo, kilka miesięcy zaledwie; nadejdzie wiosna, ogrzana słońcem kupka mogilna roztaje; zrówna się z ziemią, porośnie trawą i zielskiem; po roku, dwóch, wymrą lub rozejdą się po świecie szerokim świadkowie pogrzebu i choćby cię matka rodzona szukała, nie znajdzie już nigdzie na ziemi! Aleć i szukać tu nikt zmarłego nie będzie, i pies nawet o cię nie zapyta.

Wiedział o tem Bałdyga, wiedzieliśmy i my i w milczeniu rozchodziliśmy się do domów.



Nazajutrz po pogrzebie mróz stężał jeszcze. Po drugiej stronie dość wąskiej ulicy, na której mieszkałem, nie było widać ani jednego budynku; gęsta mgła śnieżnych kryształów, jak chmura, zawisła nad ziemią. Z po za mgławicy tej nie wyzierało już słońce; ale, chociaż na ulicy żywej duszy nie było, powietrze, niepomiernie od wielkiego zimna zgęszczone, donosiło ciągle do mych uszu to metaliczne dźwięki skrzypiącego śniegu, to huk, rozsadzanych w ścianach domów, grubych bierwion lub pękającej szerokiemi szczelinami ziemi, to podobny do jęku, żałosny śpiew Jakuta. Widocznie zaczynały się owe mrozy jakuckie, wobec których bledną najokropniejsze zimna biegunowe,

wobec których strach jakiś niewypowiedziany ogarnia człowieka, a każdy organizm żywy, czując swą niemoc zupełną, choć skupia się w sobie i kurczy, jak pies znędzniały, otoczony zgrają ciętych brytanów, wie dobrze, że to napróżno, że wróg nieubłagany prędzej czy później zwycięży.

I Bałdyga, jak na jawie, coraz częściej stawał przede mną. Od godziny siedziałem nad rozłożoną robotą; robota jednak nie kleiła mi się jakoś, pióro samo spadało z ręki i myśl nieposłuszna wyrywała się daleko po za granice śnieżnej i mroźnej ziemi. Napróżnom odwoływałem się do mego rozsądku, napróżnom powtarzałem sobie po raz dziesiąty rady lekarza; dotąd, trawiącej mnie od

kilku tygodni, chorobie stawiłem jaki taki opór, dziś czułem się zupełnie obezwładniony, bezsilny. Tęsknota za krajem pożerała mnie, trawiła nielitościwie.

Tyle już razy nie mogłem oprzeć się ułudnym marzeniom, czyżbym dziś mógł się ostać pokusie? I pokusa była silniejszą, i ja sam słabszy niż zwykle.

Precz więc mrozy i śniegi, precz rzeczywistość jakucka! Rzuciłem pióro i otoczony chmurami dymu tytoniowego, puściłem wodze rozgorączkowanej wyobraźni.

Więc i poniosłaż mnie swywołna!...

Przez tajgi i stepy, góry i rzeki, przez carstwa i ziemie niezliczone, pomknęła myśl lotna na daleki zachód, roztaczając przedemną

czary prawdziwe: nędzy i złości ludzkiej pozbawione, piękna i harmonii pełne, moje niwy nadbużne. Ustom mym dziś nie opowiedzieć, pióru nie opisać tych czarów!

Widziałem łąny pozłociste, łąki szmaragdowe, lasy starce, dawne dzieje mi szemrzące.

Słyszałem szum fal kłosisłych, gwar bożych piewców skrzydlatych, howor dębów olbrzymów, hardo wichrom urągających.

I napawałem się wonią tych lasów balsamicznych i tych pól kwiecistych, ubarwionych dziewiczą świeżością chabrów niebieskich, krasą wiosny — fijołkiem niewinnym.

...Każdy mój nerw czuł muskanie powietrza rodzinnego... Czułem ożywcze działanie promieni



słonecznych, a choć na dworze mróz zgrzytał jeszcze wścieklej i coraz groźniej szczyrzył do mnie na szybach swe zęby, krew jednak żywo zakrążyła w mych żyłach, zapalała głowa i jak zaklęty, zapatrzony, zasłuchany, nie widziałem i nie słyszałem już nic około siebie...



Nie widziałem i nie słyszałem, jak drzwi się otwarły i wszedł ktoś do mnie; nie spostrzegłem kłębów pary, buchających tu za każdym drzwi otwarciem w takiej ilości, że wchodzącego i nie dojrzysz odrazu; nie czułem zimna, które z jakąś bezczelną, rozmyślną natarczywością wrywa się tu do ludzkiej siedziby; nie widziałem

i nie słyszałem nic i dopiero, gdy poczułem blisko siebie człowieka, wprzód zanim go dojrzałem, mimowoli rzuciłem mu zwykłe w Jakucku pytanie:

— *Toch nado?* \*).

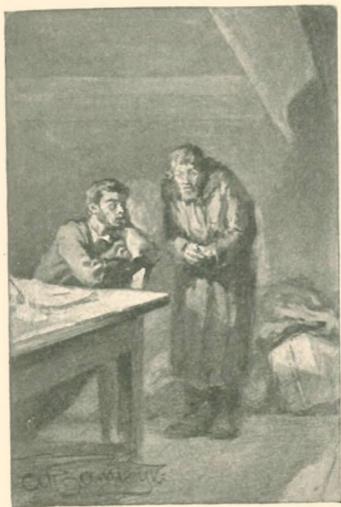
— To ja, proszę pana, *z miełoczem torguju* \*\*) — brzmiała odpowiedź.

Podniosłem oczy. Nie wątpiłem, że przede mną, pomimo wpakowanego nań przeróżnego ubrania, skór bydłęcych i jelenich, stał typowy, małomiasteczkowy, żyd polski. Kto go widywał w Łosicach lub Sarnakach, ten pozna go nietylko w jakuckich, lecz i

---

\*) Co potrzeba; pierwsze słowo — jakuckie.

\*\*) Drobiazgiem handluję.





w patagońskich skórach. Poznałem go przeto odrazu. A ponieważ, jak to rzekłem, i pytanie swe, niezupełnie jeszcze przytomny, rzuciłem mu prawie bezwiednie, więc żyd, stojący teraz przede mną, nie przerywał mych dumań zbyt brutalnie, nie był dlań kontrastem zbyt przykrym. Przeciwnie. Z pewną przyjemnością wpatrywałem się w znajome mi rysy; zjawienie się żyda w chwili, gdym myślą i sercem przeniósł się do ziemi rodzinnej, wydało mi się dość naturalnem, parę zaś słów polskich mile pogłaskały ucho. W pewnem tedy jeszcze zapomnieniu przyglądałem się mu przyjaźnie.

Żyd powstał trochę, następnie odwrócił się, cofnął ku drzwiom

i pospiesznie zaczął ściągać z siebie przeróżną swą odzież.

Wtedy dopiero opamiętałem się i spostrzegłem, że mu nic nie odpowiedział i że domyślny współziomek, wytłómaczywszy sobie najopaczniej moje milczenie, zechce mi rozłożyć swój towar. Pospieżyłem wyprowadzić go z błędu.

— Bój się Boga, człowieku, co robisz?! — zawołałem żywo. Nic nie kupuję, nic mi nie potrzeba, nie rozbieraj się na próżno i ruszaj z Bogiem dalej!

Żyd przestał się rozbierać i pomysławszy chwilkę, wlokąc za sobą napoły ściągniętą dochę \*),

---

\*) Odzież wierzchnia zimowa. Zwykle ze skór podwójnych sierścią na wierzch i wewnątrz zszyta. Dochy szyją się ze skór jelenich, biedniejsi noszą bydłęce.

zbliżył się do mnie i głosem urywanym, prędko i bezładnie tak mi prawić zaczął:

— To nic; ja wiem, że pan nic nie kupi. Widzi pan, ja tu dawno już jestem, bardzo dawno... Ja dotąd nie wiedziałem, że pan przyjechał. Pan z Warszawy przecie? Wczoraj mi dopiero powiedzieli, że pan tu już cztery miesiące przeszło. Co za szkoda, że się tak późno dowiedział! Byłbym zaraz przyszedł. Dziś szukałem pana z godzinę; byłem aż na końcu miasta, a tu uróz taki, niech go dyabli wezmą!... Niech pan pozwoli, ja długo przeszkadzać nie będę, kilka słówek tylko...

— Cóż ty chcesz odemnie?

— Ja tylko chciałbym pogadać trochę z panem.

Odpowiedź ta nie zdziwiła mnie wcale; ludzi rozmaitych, przychodzących jedynie po to, aby »pogadać trochę« z człowiekiem niedawno przybyłym z kraju, spotykałem już niemało; byli pomiędzy nimi i żydzi. Przychodzący interesowali się przedmiotami najróżnorodniejszymi: bywali i prości ciekawscy i gadulscy, bywali i ludzie, którzy o krewnych tylko pytali, bywali i politycy, pomiędzy którymi niejednemu już się zupełnie w głowie przewróciło. Wogóle jednak pomiędzy przychodzącymi, polityka miała zawsze szczególny mir i poważanie. Nie zdziwiło mnie więc, powtarzam, żądanie nowego przybysza i chociaż radbym był uwolnić mą chatę co prędzej od nieprzyjem-



nego zapachu, źle zwykle wyprawianych, bydlęcych skór dochy, poprosiłem go uprzejmie, aby się rozebrał i usiadł.

Żyd widocznie ucieszony, po chwili już siedział koło mnie i teraz mogłem mu przyjrzeć się uważniej.

Wszystkie najordynarniejsze rysy plemienia żydowskiego, zdaje się, wcieliły się w siedzącą obok mnie postać: i gruby, pałkowaty, trochę na bok zakrzywiony nos, i przenikliwe, jastrzębie oczy, i broda klinowata, barwy dobrze dojrzałego ogórka, i wreszcie czoło niskie, grubym włosem okolone, wszystko to posiadał mój gość, lecz, rzecz dziwna, wszystko to, razem wzięte, być może, skraszone wyrazem twarzy znędzniałej,

tchnącej jakąś szczerą otwartością i przyjaźnią, nie sprawiło na mnie w tej chwili złego wrażenia.

— Powiedzże mi, skąd jesteś, jak się nazywasz, co tu porabiasz i czego chcesz się dowiedzieć odemnie?

— Jestem, proszę pana, Srul z Lubartowa, może pan dobrodziej wie, to zara kiele Lublina; nu, bo u nas wszyscy myślą, że to tak bardzo daleko, dawniej i ja tak myślałem, ale teraz, dodał z przyciskiem, to my wiemy, że Lubartów od Lublina bardzo blisko, zara kiele niego.

— A dawno tu jesteś?

— Bardzo dawno, trzy lata bez mała.

— To jeszcze nie tak dawno przecie, są tacy co po 20 lat

przeszło tu mieszkają, a w drodze spotkałem staruszką z Wilna, co blisko 50 lat tu mieszka; ci rzeczywiście są dawno. Ale żyd mnie ofuknął:

— Jak oni, to ja nie wiem, ja wiem, że jestem tu bardzo dawno.

— Zapewne sam tylko jesteś, jeżeli ci czas tak długim się wydaje?

— I z żonem i z dzieckiem — z córką; miałem czworo dzieci, kiedy tu szedłem, ale to podróż taka, niech Bóg zachowa, szliśmy rok cały; pan nie wie, co to etapy?... Troje dzieci odrazu mi umarło, w jednym tygodniu, to jakby odrazu. Troje dzieci?! Ła-two powiedzieć... nawet pochować nie było gdzie, bo cmentarza naszego tam niema... Ja husyt

jestem, dodał ciszej, pan wie, co to znaczy... zakonu pilnuję... i Bóg mnie tak karze...

I umilkł wzruszony.

— Mój kochany, w takim położeniu trudno już o tem myśleć, wszystko to jedno przecie, ziemia boża wszędzie — starałem się go choć czemkolwiek pocieszyć, ale żyd skoczył jak oparzony.

— Boża! jaka boża! co za boża! co pan mówisz? To psia ziemia! Tfu! tfu! Boża ziemia? Nie mów pan tak, wstydz się pan! Boża ziemia, co nigdy nie rozmarza? To przeklęta ziemia! Bóg nie chce, żeby tu ludzie mieszkali: żeby On chciał, nie byłaby taką. Przeklęta, podła! Tfu! tfu!

I zaczął pluć koło siebie i tupać nogami; z zaciśniętymi usty,

skurczonymi palcami groził niewinnej ziemi jakuckiej, szeptał jakieś przekleństwa żydowskie, aż zmęczony wysiłkiem, upadł raczej, niż usiadł, na stołku koło mnie.

Wszyscy zesłani, bez względu na religię i narodowość, nie lubią Syberyi; widocznie jednak fanatyczny chasyd nie umiał nienawidzić połowicznie. Czekałem, aż się uspokoi. Wychowany w twardej szkole, żyd prędko przyszedł do siebie, prędko owładnął wzruszeniem, i gdym po chwili spojrział mu w oczy pytająco, odpowiedział mi natychmiast:

— Niech pan daruje, ja z nikim o tem nie mówię, bo i z kim tu mówić?

— Alboż żydów tu mało?

— Czy to żydzi, panie? to już

tacy jak tutejsi... zakonu nikt nie pilnuje. Bojąc się jednak nowego wybuchu, nie dałem mu już skończyć, postanowiłem skrócić rozmowę i zapytałem wprost, o czem tu on chciał ze mną pogadać.

— Chciałbym się dowiedzieć, co tam słyszeć, panie. Tyle lat tu jestem i jeszcze nigdy nie słyszałem, co się tam dzieje.

— Kiedy pytasz trochę dziwnie, nie mogę ci przecież opowiedzieć odrazu wszystkiego; nie wiem, co cię interesuje, polityka może?

Żyd milczał.

Sądząc, że gość mój, jak i wielu innych, interesuje się polityką, nie rozumiejąc samej nazwy przedmiotu, zacząłem stereotypową już dla mnie, ze względu na wielokrotne powtarzanie, opowieść o

politycznem położeniu Europy, naszym i t. d. ale żyd zakręcił się niecierpliwie.

— Więc to cię nie interesuje? zapytałem.

— Nigdy o tem nie myślałem — odparł otwarcie.

— A! teraz wiem, o co ci chodzi, pewno chcesz wiedzieć, jak się żydom powodzi, jak handel idzie?

— Im się lepiej powodzi, jak mnie.

— Słusznie. W takim razie pewno chcesz wiedzieć, czy życie u nas teraz drogie, jakie ceny na targach, po czemu mąka, mięso i t. d.

— Co mi z tego przyjdzie, kiedy tu nic dostać nie można, choćby tam najtaniej było.

— Jeszcze słuszniej; ale ostatecznie o cóż u licha ci chodzi?

— Kiedy ja nie wiem, proszę pana, jak to powiedzieć. Widzi pan, ja tak nieraz miślę, miślę, że aż Ryfka, to moja żona tak się nażywa, pyta się: »Srul, co tobie?« A co ja jej mam powiedzieć, kiedy ja sam nie wiem, co mi jest. Bo to może nawet i ludzie śmieliby się ze mnie? — dodał, jakby badając, czy i ja zeń śmiać się nie będę.

Ale ja się nie śmiałem. Byłem zaciekawiony: widocznie gniotło go coś, z czego sam sobie sprawy zdać nie umiał i wypowiedzenie czego w języku, którym władał nadzwyczaj słabo, było dlań jeszcze trudniejszym. Aby dopomódz mu, uspokoiłem go, żeby się nie



spieszył, że robota moja niepilna, nic na tem nie straci, jeżeli pogadamy z godzinę i t. d. Żyd podziękował mi wzrokiem i po krótkim namyśle rozpoczął taką rozmowę:

— Kiedy pan wyjechał z Warszawy?

— Podług ruskiego kalendarza w końcu kwietnia.

— A czy wtedy zimno tam było, czy ciepło?

— Ciepło zupełnie, jechałem z początku w letnim ubraniu.

— Nu, patrz pan? A tu mróz!

— Cóż to zapomniałeś czy co, przecież w kwietniu pola już u nas zasiane, wszystkie drzewa zielone.

— Zielone? radość błysła w oczach Srula — a tak, tak zielone, a tu mróz!

Teraz już wiedziałem o co mu chodzi; chcąc się jednak upewnić, milczałem; żyd ożywił się widocznie.

— Nu! niech mi pan powie, czy jest u nas teraz... tylko, ot widzisz pan, nie wiem już, jak się nazywa, już po polsku zapomniałem — tłumaczył się zawstydzony, jak gdyby umiał kiedy — to jest białe takie, jak groch, tylko nie groch, koło domów w ogrodach latem, na takich wielkich kijach?...

— Fasola?

— A to właśnie! Fasola, fasola — powtórzył sobie kilkakrotnie, jak gdyby chciał wrazić sobie to słowo na zawsze.

— Rozumie się, jest i dużo, a tu czyż niema?

— Tu! Bez całe trzy lata ani jednego ziarnka nie widziałem, tu groch taki, co u nas, z przeproszeniem tylko... tylko...

— Świnie jedzą — podpowiedziałem.

— Ny tak! tu na funty sprzedają i to nie zawsze dostać można.

— Czy tak lubisz fasolę?

— Nie to że lubię, ale to właśnie, ja sobie tak nieraz myślę o tem, bo to ładnie przecie, nieprzymierzając, jakby lasek rośnie wedle domu. Tu nic niema!

— A teraz — zaczął znowu — teraz niech mi pan powie, czy w zimie są u nas jeszcze małe, ot takie — i na palcu pokazywał — szare takie ptaki? także zapomniałem, jak to się nazywa. Dawniej dużo ich było! Bywało modłę się

koło okna, a tego maleństwa, jak mrowia się nazbiera. No, ale kto-by tam na nich patrzył? Wie pan co, nigdybym nie uwierzył, że o nich kiedy myśleć będę!? Bo tu, tu wrony nawet na zimę uciekają, to maleństwo takie tembardziej nie może wytrzymać, ale u nas pewnie są jeszcze? Ny, panie, są?...

Ale teraz ja mu nie odpowiadałem, nie wątpiłem dłużej, że żyd stary, chasyd fanatyczny, tęsknił za krajem tak samo, jak i ja, że obaj byliśmy chorzy na jedną chorobę; niespodziane takie znalezienie współkolegi cierpienia, rozrzewniło mnie wielce, wziąłem go więc za rękę i sam z kolei zapytałem:

— Więc to o tem pogadać ze

mną chciałeś? Więc ty nie myślisz o ludziach, o swej doli ciężkiej, o biedzie, która cię gniecie, lecz tęsknisz do słońca, powietrza, ziemi rodzinnej?... Myślisz o polach, łąkach i lasach, o ich mieszkańcach bożych, których w życiu swem biednem nie miałeś nawet czasu poznać dobrze, i dziś gdy obrazy miłe znikają z twej pamięci, boisz się pustki, która cię otoczy, sieroctwa wielkiego, które cię dotknie, gdy się zatrądrogie wspomnienia? Chcesz, żebym ci je przypomniał, odświeżył, chcesz, abym ci opowiedział, jaką jest ziemia nasza?...

— O tak, panie, tak, panie! po to tu przyszedłem... i ścisnął me ręce i śmiał się, jak dziecko, radośnie.

— Słuchajże, bracie!...

. . . . .

I słuchał mnie Sruł, cały w słuch zamieniony, z otwartemi usty, wlepionym we mnie wzrokiem; wzrokiem tym palił mnie i podniecał, wyrywał mi słowa, chwycił je spragniony i kładł głęboko, na dnie swego serca gorącego... kładł tam, nie wątpię, bo gdym kończył swą opowieść: *O wej mir, o wej mir!* zajęczał żyd boleśnie, zatrzęsła się broda ryża i łzy duże, łzy czyste, potoczyły się po znędzniałej twarzy... I długo szlochał chasyd stary i ja płakałem z nim razem.




Dużo wody od tego czasu upłynęło w zimnej Lenie i łez



ludzkich niemało zapewne spłynęło po twarzach zbolałych. Do-  
tąd jednak, choć to dawno już  
było, w ciszy nocnej, w czasie  
nocy bezsennej, często staje mi  
przed oczyma posągowa, stygma-  
tem bólu wielkiego ożywiona  
twarz Bałdygi i obok niej zawsze  
się zjawia żółkła i pomarszczona,  
łzami czystymi oblana twarz Srula.  
I gdy wpatruję się dłużej w te

widziadła nocne, nieraz, zda mi się, widzę, jak się poruszają drżące i blade wargi żyda i głos cichy, rozpaczliwy szepce koło mnie: »O Jehowo, czemuś taki niemiłosierny dla jednego z najwierniejszych Twych synów?...«





III

MACIEJ MAZUR





Po wyjeździe z Jakucka zamieszkałem w X., lichej miejscinie, leżącej nad tąż samą Leną, mniej tu zimną i szeroką, więcej za to dziką i posępną. Osady ludzkie, chociaż kraj ten leży o parę tysięcy wiorst bliżej od świata, są tu rzadkie, ziemia skalista i górzysta i na wszystkie strony świata na setki, na tysiące wiorst tajgą odwieczną pokryta.

Zapewne rzadko gdzie na świecie spotkać można bardziej dzikie i ponure krajobrazy, niż te, które się przedstawiają oku czło-

wieka na ogromnej przestrzeni, zraszanej Leną, poczynając od połowy górnego jej biegu pod sam Jakuck prawie. Tajga bezbrzeżna, tajga ponura, dzika i niedostępna, zwarta jak ściana, pokrywa tu wszystko: i góry, i wąwozy, i równie, i rozdoły. Gdzieś tam tylko na czarnem tle tajgi wznosi się, jak obelisk potrząskany lub grobowiec olbrzymi, szara, obsypująca się, skała; kiedy-niekiedy zatoczy nad pustynią niezmierną majestatyczne swe kręgi sęp poważny, kiedy-niekiedy ryknie i zahuczy pan jedyny tej puszczy — niedźwiedź gniewliwy.

Rzadkie siedziby człowieka tułają się u podnóża skalistych wybrzeży Leny, jedynej arteryi, jedynej

drogi nietylko tego, lecz i jakuckiego kraju, a ludzie, w siedzibach tych mieszkający, w ciągłym obcowaniu z dziką przyrodą, zdziczeli sami tak dalece, że u rolników z szerokich dolin, w wierzchowskich Leny leżących, i u pasterzy ziemi jakuckiej znani są pod nazwą — wilków.

Klimat tu także surowy, a chociaż mrozy nie bywają nigdy tak wielkie i stałe jak w Jakucku, ziemia ta, jako najbliższa sąsiadka ziemi najzimniejszej, wystawioną jest na wiatry niemniej zimne, owe jakuckie boreasze okrutne, sięgające w swych zapędach dalekiego Uralu.

Przy ujściu jednego z wielkich prawych dopływów Leny znaj-

duże się dość wielka kotlina, wspólnem działaniem dwu potężnych rzek wyrwana i następnie zamulona. Kotłowina ta, zewsząd okolona dość wysokimi, to poło-giemni, to stromemi górami, przy swem ujściu na północny-wschód zamknięta jest szczególnie wy-sokiem i skalistem pasmem gór-skiem, w którym obie rzeki, rwą-ce się w tym kierunku, przebiły i wyryły sobie łożysko. W tym to północno-zachodnim kącie ko-tliny na niewielkiej i niewysokiej skale, oddzielonej dziś od główne-go pasma korytem Leny, a w czę-ści i u podnóża tej skały, pomię-dzy obiema rzekami, leży X., sto-lica kraju, wilczem plemieniem ludzi nasiadłego. Wysokie pasmo górskie, formujące przeciwny

brzeg Leny, tuż naprzeciw miasta, wznosi się w kształcie ogromnego, skalistego cypla, którego wierzchołek wywietrzał już i porósł lasem, strona zaś zwrócona ku miastu sterczy przed niem w odległości kilkuset sążni jak prostopadła, gładko lodami wyszlifowana ściana, zmniejszając na czwartą część i tak niewielki widnokrąg kotliny. Jakby dla zwiększenia dzikości krajobrazu, który miejscowość ta wraz z okalającymi ją górami i skałami, pokrytymi tajgą zczerniałą, przedstawia, panujące tu ciągle wichry potężne, przeważnie północne, niosąc latem wczesne przymrozki, zimą — wiejki, śnieżyce i mrozy jakuckie, wyprawiają tu codziennie człowiekowi dyabelską muzykę.

Wichry, wpadając w kotlinę, odbite od skał i powtórzone we wnętrzach tajgi wielokrotnem echem, napełniają całą jainę takim wyciem, takim jękiem przeróżnym, że nieraz się wydaje, żeś wpadł w iście wilcze lub niedźwiedzie ostępy i legowiska.



Było to jakoś w połowie listopada, na miesiąc przeszło przed świętami Bożego Narodzenia. Wichrzysko jak zwykle wył różnymi głosy, pędząc i kręcąc w swym tańcu szalonym całe tumany suchego śniegu. Na ulicę i psa-byś nie wygnał. Ludziwilki pochowali się w swych domach, popijając *czaj* gorący z *twior-*



*dymi i miakkimi* \*), wilki prawdziwe wtórzyły zapewne wilczemu wyciu wichru. Czekałem z godzinę, czy nie ścichnie, — nie ścischało jednak i chociaż niechętnie, wyruszyłem z domu.

Przed kilku dniami przyrzekłem był p. Stanisławowi Światełce, że w ciągu tygodnia przyjdę do niego któregośkolwiek dnia, aby mu napisać listy do kraju, listy, jak mówił, dość pilne; była już sobota i dłużej swego pójścia odkładać nie mogłem. P. Stanisław był kulawy i już to z powodu

---

\*) Herbata z chlebem jęczmiennym, który zwykle na drugi dzień po upieczeniu bardzo twardnieje, nazywa się *czaj s twior-dymi*, a z chlebem razowym, żytnim — *s miakkimi, s miagońkimi*.

swego kalectwa, już to z powodu zajęcia, rzadko bardzo wychodził z domu. Pochodził on z ziemi krakowskiej, o ile sobie przypominam, z Wiślicy; szczycił się tem, że ród Świątełków należał do najstarszych mieszczańskich rodów prastarego grodu i niezmiennie, jak pamięcią sięgnąć mogli i ojce, i dziady, pilnował kunsztu szewckiego. Szewcem był tedy i pan Stanisław, szewcem w swoim rodzie ostatnim, bo chociaż ród jego na nim się nie kończył, jednakże, jak sam się wyrażał: »zrządzenie boże było już takie«, że przekazać synowi rzemiosła ojców nie mógł.

— Bóg go wychowywał, mój panie, i widocznie wola Jego była, aby na mnie szewce Świątełki

skończyli się — mawiał pan Stanisław, a mawiał zwykle prędko, jakby groch sypał na ścianę. Czasami tylko, ale chwile te rzadko bywały, gdy mu co dodało otuchy, a obcych ludzi nie było, dodawał: »Chociaż niezbadane są wyroki Jego... a nuż?... No, wtedy już wnuk szewcem będzie!« — i bladł zwykle od wypowiedzenia myśli swej tajnej, odwracał się szybko, szukał czegoś nibyto, kręcił się i parę razy podpatrzyłem i podsłuchałem, spluwał nieznacznie i szeptał do siebie: »Nie w złą-by godzinę, Panie!« — urok odpędzał od życzeń najdroższych.

Wzrostu średniego, blondyn, w połowie już osiwiały, brodaty, bez zębów, z nieforemnym, sze-

rokiem nosem, wielkimi, głęboko wpadłemi oczami, dopóki siedział i milczał, trudno było odgadnąć; kto zacz? Ale niechno tylko poruszył się, pomimo nieodłącznego kija zawsze jakoś gorączkowo, gwałtownie prawie, niechno tylko sypnął swym językiem jak kołowrotem kilkanaście słów wartkich, to chyba tylko kto nigdy nie widział starego, czysto polskiego mieszczaństwa, nie poznałby w nim nieodrodnego tego mieszczaństwa syna. Pan Stanisław rzemiosło swe uprawiał w X. niedługo; uciuławszy trochę grosza na majsterce, założył sklepik malutki, ale słynął w miasteczku jako jedyny fabrykant dobrych kiełbas polskich. Mieszkanie miał przy sklepie, z jednego pokoiku

i maluczkiej kuchenki złożone. Służącej nie trzymał: gotował mu jeść, służył do towarzystwa, usługi i do obrony skutecznej wielki chłop, Maciejem zwany, którego jednak dotąd bliżej nie poznałem.

Bywałem u Świątełki nie często, przychodziłem zwykle w dzień, gdy mi co kupić potrzeba było, gawędziliśmy w sklepie, tak, że Macieja widywałem przelotnie i zwróciłem tylko nań uwagę, jako na coś niezwykle wielkiego. Rzeczywiście, chłopisko to był ogromny i, co rzadko się zdarza, nietylko wzrostem, ale i objętością jednakowo obdarzony. Objętość ta, proporcjonalna do wielkiego wzrostu, nadawała całej figurze te właśnie cechy, które sprawiały, że Maciej wydawał się

nie wielkim, ale imponował swymi rozmiarami.

W mieszkaniu, obliczonym na ludzi zwykłych, ciasno mu było; meble i sprzęty rozstawione z zastosowaniem się objętości przeciętnego człowieka, krępowały ruchy Macieja. Dwóch kroków nie mógł on zrobić w mieszkaniu, aby nie zaczepić, nie potrącić o sprzęt jakowy; idąc, stąpał ostrożnie, powolutku, ozierając się ustawicznie, i miał zawsze zawstydzoną minę człowieka, czującego się nie na miejscu i przekonanego, że najusilniejsze starania nie ustrzegą go od popełnienia niedorzeczności. Parę razy widziałem Macieja, gdy w czasie nieobecności Świątełki zastępował go w sklepie dość ciasno zasta-

wionym: na szerokiej twarzy jego malowało się wtedy cierpienie prawie, szczególnie widoczne, gdy dochodząc do przejścia, pomiędzy półkami i kontuarem ciągnącego się, zatrzymywał się trochę i wzrokiem niespokojnie mierzyl wielkość niebezpieczeństwa. Niebezpieczeństwo, rzeczywiście, istniało, bo półki zastawione były szkłem i naczyniem wszelakim i jedno potrącenie mogło narobić szkody niemało. Była to dla niego prawdziwa Scylla i Charybda; wyglądał on tu zawsze arcykomicznie, a męczył się tak, że po kilku minutach takowego stania pot kroplisty zraszał mu czoło. Zastałem go raz, gdy stał tam jak na torturach, oczekując czyjegokolwiek przyjscia. Zdało się mu

bowiem, gdy wychodził z owego przejścia po załatwieniu kupującego, że zaczepił za coś z tyłu, a bojąc się poruszyć i nie mogąc się upewnić, za co mianowicie, stał i czekał, dopóki kto nie nadejdzie.

— Chwałoc Bogu, ze pon przy-  
sed, zawołał ucieszony, dyć stoję  
tu, jak zyd na weselu, a on po-  
sed i ani myśli wracać! A ze tyz,  
Chryste Ponie, ciasno tu u niego,  
zacepiułem za cajneczek jakowyś  
i nijok rusyc się nie mogę, bo  
strzez Boze, polecom do ciorta  
wsyćkie te połecki. A gdym go  
uwolnił, biadał dalej: — I to cię-  
giem tak, skaranie boze z tom  
ciasnotom, ale co to jemu? Som  
ot — tyćki, to chocia i z kijem  
zawdy, a jak frygo tu lata.



»On«, rozumie się, był to szewc, z którym ścinali się o byle głupstwo, zawsze jednak dość spokojnie i chłodno. Nerwowego i ruchliwego szewca drażniła ociężałość i niezgrabność Macieja i nawzajem Maciej nie mógł zrozumieć szewckiej prędkości. Ale nie to jedno tylko było przyczyną antagonizmu: szewc był mieszczaninem, człowiekiem do pewnego stopnia kastowym prawie, z głębokim przeświadczeniem o swej stanowej wyższości, chodził w surducie i miał potrzeby, które Maciej uważał za zupełnie zbyteczne, pańskie poprostu. W dodatku zaś szewc był gospodarzem, chlebowodawcą Macieja.

Bez względu jednak na to wszystko, antagonizm, ujawniający się

w ich wzajemnych stosunkach nie sięgał głębiej, był właściwie dość powierzchowny i miałki. Szewc zrządził na Macieja i podkpiwał sobie nad nim czasami, ale robił to zawsze po koleżeńsku, z zachowaniem należnego poważnemu włościaninowi respektu, t. j. używając zawsze względem niego formy wy, a nie ty. Maciej zrządzenie szewckie zwykle przyjmował w milczeniu, na docinki jednak odpowiadał i odpowiadał czasami dość koląco. Na tak znośne ustosunkowanie się dwu stanów w jednej izdebce, oprócz wspólnej doli i obecnej równości przed prawem, wpływały i inne przyczyny dość poważnej natury.

Szewc w porównaniu z Macie-  
em posiadał inteligencyę, o ja-

kiej ten nawet i marzyć nie mógł. Szewc umiał czytać i, co dodawało mu w oczach Macieja szczególnego uroku i powagi niemałej, umiał chociaż powoli i z zachodem zawsze dość znacznym nakreślić ośmnaście liter, składających jego imię i nazwisko. Ze strony Macieja znowu, oprócz mocy fizycznej, tej siły brutalnej, co to gnie i niekulawych ludzi, stał fakt, że służył on nie tyle z potrzeby, ile z pobudek koleżeńskich, gdyż miał własny kapitałik, kilkaset rubli wynoszący, u szewca obecnie złożony i, co najważniejsza, był człowiekiem sumiennym i uczciwym. Gdym, nie wiedząc jeszcze o tem, w rozmowie swej z szewcem zapytał go jakoś, czy ufa zupełnie Ma-

ciejowi, mieszkając z nim sam jeden i zostawiając go nieraz w sklepie, szewc powtórzył me pytanie z takim zdziwieniem, że odrazu zrozumiałem zupełną jego niestosowność, powtórzył i, wymawiając już każde słowo nieprędko, jak zwykle, ale powoli i dobitnie, dał mi taką odpowiedź: — Maciej, panie, człowiek — złoty.



Natychmiast po mojem przyjsciu zamknięto sklep i weszliśmy do mieszkania. W pokoiku pod jedynem oknem stał stolik niewielki z dwoma krzeselkami po bokach; za jednym z nich wzdłuż ściany bocznej mieściło się łóżko,

za drugim obok przeciwnej ściany — mała drewniana kanapka. W czwartej ścianie naprzeciw stolika dość wązki otwór wiódł do kuchni, mieszkania Macieja. Zasiadliśmy do narady, co i jak pisać należy. Nietylko szewc, ale i Maciej nawet był w nastroju wysoce poważnym, widocznie obaj do pisania listów przywiązywali wagę niemałą. Szewc dostał z kuferka sporą paczkę, zawiniętą w arkusz papieru i wyjąwszy z niej ostatnie listy od żony i syna, podał mi je ostrożnie. Maciej wcisnął się do kuchenki i nie wrócił już do nas, ale po chwili głowa jego, ale tylko głowa z wielką czerwoną twarzą ukazała się jak księżyc na czarnem tle otworu.

— Cóż to Macieju tak daleko uciekacie? zapytałem.

— Ee! kiedy to, widzi pon, na ty słabiźnie siedzieć nijako, a tu se sporządziłem ławeczkę trocha mocniejszą.

Szewc mruknął coś o łamaniu jakichś krzeselek, ale Maciej zakrzętał się około fajki, jakoby zagasłej i nie słyszał, czy udał, że nie słyszy mruknięcia.

Zacząłem czytać listy. List od żony był zwykłym opowiadaniem o troskach codziennych, przeplecionem życzeniami powrotu, nadzieją zobaczenia się jeszcze. List od syna, już od pół roku wyzwolonego czeladnika stolarskiego, był dość lekkomyślny: zawiadamiając ojca o swych wyzwolinach, syn pisze, że robota bywa nie



zawsze, wskutek czego, nie mogąc sam zebrać sobie pieniędzy, potrze-

bnych mu na kupno zegarka, prosi go o przysłanie mu kilkunastu rubli w tym celu. Przeczytałem i spojrzałem na szewca, który wpił się we mnie oczami, śledząc wrażenia treścią listów wywołanego. Starąłem się wyglądać najobojętniej. Czy i w jakiej mierze to mi się udało, nie

wiem, bom nie patrzył już nań wcale, tylko po chwili przekonałem się, że usiłowania moje próżne były, usłyszałem bowiem trwożliwe pytanie: — No i cóż panie? Okazało się, że szewc listem syna był bardzo zgryziony, bardziej nawet niż przypuszczałem.

— Ja tu staram się, zabiegam jak mogę, żeby na wypadek i wrócić o czem było i ręki na starość nie wyciągać, a ten błazen!...

Zaczęliśmy mu oba przekładać, że brać to do serca zbytnio nie ma co, że chłopak może być najlepszy i jest takim zapewne, tylko może rozpieszczony trochę, szczególnie jeżeli był jeden u matki.

— A jakże nie jeden, kiedy i tego nie widziałem nigdy.



— Jakto nigdy?

— A tak właśnie że nigdy, bo, jak dziś pamiętam, w piątek przed wieczorem coś tam dłubałem na podwórzu koło domu, gdy sąsiad Kwiatkowski krzyknął mi z za parkanu: — Bój się Boga p. Stanisławie, po ciebie idą! A to tylko zdążyłem dopaść do okna i zawołałem: Bądź zdrowa Basiu, a pamiętaj, niechże i jemu św. Stanisław będzie patronem! Tylko te słowa wymówiłem; Basia akurat była w ósmym miesiącu, ale już jej więcej nie widziałem; dobrze się więc zrobiło, że powiedziałem, zawszeć jest pamiątka po mnie.

— Chwalić Boga, że je, ale gdyby tak nie syn buł...

Nie skończył jednak Maciej,

gdy szewc zgorszony karcieć go zaczął surowo.

— Głupstwa pleciecie Macieju, choć nie dzisiejsi jesteście! A czy to kościół nie nadaje imienia świętej Stanisławy? A czy nakoniec, choć grzeszny jestem, jak każdy człowiek, nie mogę przypuścić, że słowo wymówione w taką minutę nie znaczyło coś przed majestatem? Czy to nie w ręku Boga wszystko?...

Maciej spuścił oczy i tylko westchnienie głębokie świadczyło o pożądanym skutku szewckiej wymowy.

Okoliczność, opowiedziana przez p. Stanisława, ułatwiła nam bardzo zadanie, a gdy jeszcze przypominał on sobie, że matka na syna nigdy się nie skarżyła, przeciwnie,

zawsze była zeń zadowolona, udało się uspokoić ojca, zbytnio roztrwożonego o los jedyne go dziecka. Aby jednak załatwić sprawę gruntownie, stanęło na tem, że należy napisać do kogoś z poważnych a świątłych ludzi, aby wyegzaminował chłopca, jak należy i, mając go nadal na oku, zawiadomił ojca o rezultacie egzaminu. Stanęło na tem dla tego, że matka, jako kobieta prosta, niewykształcona i być może wielce w jedynaku rozmiłowana, mogła być sędzią zbyt pobłażliwym i ślepym. Chodziło tylko o wybór osoby, co było rzeczą dość trudną: ten umarł, tamten z bogaciał, ów rozpił się ostatecznie; medytowaliśmy długo i medytowalibyśmy jeszcze dłużej, gdyby nareszcie

szewc z miną człowieka przekonanego, że dobrze mówi, nie wyrzekł stanowczo:

— Napiszemy do księdza! co gdy Maciej, rad, że uciążliwa medytacya skończona, a może też, rehabilitując się z dowiedzionej mu niedawno głupoty, poparł spiesznie:

— A no do probosca najlepi — przystąpiłem i ja do większości. Pewne trudności, wynikające z tego względu, że ksiądz nie był Świątełce osobiście znanym, praktyczny szewc, poparty również przez Macieja, że »lady jaki w takim mieście proboscem nie bandzie«, usunął w ten sposób, że, zamawiając u księdza solenną wotywę żałobną za duszę swych rodziców, na co posyłał rubli

dziesięć, przy tej już jakoby sposobności polecał i syna łaskawym względem dobrodzieja.

Zacząłem pisać listy, których trzy być miało: do żony, do syna i księdza. W ciągu swego pobytu w Syberyi tyle podobnych listów napisałem, że w pisaniu takowem wprawy nabrałem nie-małej. Informując się więc tylko o niektórych szczegółach, pisałem prędko. Szewc przesunął się z łóżka, na którym dotąd siedział, na drugie krzeselko, przy stole stojące i z głową nad tym stołem pochyloną śledził uważnie za ruchem mego pióra, gotów do odpowiedzi; Maciej pykał ze swej łulki w milczeniu. Skończyłem listy i przystąpiliśmy do czytania.

Żonie posyłał pan Stanisław

pięćdziesiąt rubli, a ponieważ o wiernej mu Basi zachował najserdeczniejsze wspomnienie, kochał ją dziś bardziej może, niż przed 20-tu laty i nigdy nie mógł mówić o niej bez głębokiego wzruszenia, więc i list do niej odpowiadał młodym uczuciom szewca.

Słuchał on listu bledszy niż zwykle, chciał coś mówić, ale usta mu drżały i słowa więzły w gardle, i tylko gdy skończyłem czytanie, pan Stanisław zakręcił się po swojemu i wytarłszy nos kilkakrotnie, wymówił nareszcie: »Zaraz podpiszę«. Po wynalezieniu w stoliku okularów, należytem osadzeniu takowych na nosie i wskazaniu miejsca, w którem podpis ma być umieszczony, szewc zaczął:

— *Es, te* i usta już otwierał na wymówienie trzeciej litery, gdy Maciej nieopatrzny, zachowujący się w czasie mego pisania najprzyzwoiciej, ni stąd ni zowąd palnął niespodziewanie:

— Azeby tyz pon...

Palnął i rozumie się, nie skończył: szewc położył pióro i wysoko podniósłszy głowę, aby przez okulary spojrzeć na Macieja, napewno żałującego już niewczesnego odezwania się, wyrzekł sucho:

— Macieju, przeszkadzacie.

Maciej spłoszował i naturalnie słowa już nie pisał; szewc dopisał swe nazwisko bez przeszkód, wyjął pieniądze, które, aby uniknąć na drugi dzień pomyłki, włożyłem zaraz wraz z listem w zaadresowaną kopertę.

List do syna, jakkolwiek w czasie narad pan Stanisław żądał natarcia uszów »durniowi«, był nie tyle surowy, ile wyrozumiały. Łatwo było domyśleć się, czem był ów syn niewidziany jeszcze, owa jedyna nadzieja staromieszczańskiego rodu, dla Świątełki. Jeżeli kaleka szewc pracował lat tyle wytrwale i uczciwie, jeżeli zmagał dotąd dolegliwości przeróżne, jeżeli samotny i opuszczony z pokus łatwego z bogacenia się, któremi Syberya ludzi naiwnych nowicyuszów, wyszedł zwycięzko, zawdzięczał to bezwątpienia w pewnej mierze zasadom uczciwym, z domu i z kraju wyniesionym i charakterowi swemu, ale też, nie ulega wątpliwości, w niemniejszej mierze owemu sy-



nowi, w którego urodzeniu samem widział niejako rękę bożą. Jasną to było rzeczą, że marzył biedaczysko o stawieniu się przed dziećciem ukochanem, jak marzy asceta o zjawieniu się przed sądem bożym. Myśl, że będzie mu mógł powiedzieć kiedyś, powiedzieć głośno i śmiało: nie przyniosłem ci, synu, nic okrom imienia nieskalanego wśród przejść najcięższych i pokus największych — była gwiazdą przewodnią jego życia. Mając to tedy na względzie, nie nacierałem »durniowi« uszów, nie karciełem, ale z miłością pouczałem, czem są pieniądze, które ojciec rodzinie posyłał, pieniądze krwawo zapracowane, nieraz może sobie od ust odjęte: pouczałem, czem być winien i mógłby

już obecnie chłopiec, mający silne i zdrowe barki, dlaczego żądanie pieniędzy na marną błyskotkę zakrwawiło serce ojcowskie i t. d. Pisałem obszernie i spokojnie, słowy prostemi, stosując się do pojęć młodego rzemieślnika, gorąco go w końcu błogosławiąc na nową drogę życia.

Czytanie to odbywało się już z ciągłymi przerwami, gdyż zatrzymywałem się, aby się dowiedzieć, czy wiernie tłómaczę uczucia i życzenia ojca. Że tak było, przekonałem się o tem już na początku listu i w miarę czytania w przekonaniu tem zupełnie utwierdziłem. P. Stanisław za każdym razem, gdym nań pytająco spoglądał, odpowiadał mi spieszenie: »tak, tak, tak właśnie chcia-

łem«. Ale im dalej czytałem, tem krótsze, tem prędsze stawały się owe: »tak, tak«. W środku listu jakoś otworzył on wprawdzie jeszcze raz usta, ale widziałem tylko, jak one poruszyły się bezdźwięcznie. Spojrzałem jeszcze raz: broda szewca leżała na stole i łzy płynęły po jego bladej twarzy. Nie kręcił się już on, jak to zwykle przedtem robił, gdy uczucie jego wzbierało, nie chrząkał, nie wycierał nosa; oparł tylko brodę o stół o kilka piędzi ode mnie, przed samą świecą i jej światłem oświetlony płakał przed nami spokojnie; nie drgał, nie łkał: łzy tylko, dawno zapewne z tych oczu zapadłych nie płynące, płynęły dziś z nich obficie. Gdym umilkł, szewc, nie podnosząc głowy i pa-

trząc na mnie swemi wielkimi, rozumnymi oczami, dziękował mi: »Bóg zapłać, Bóg zapłać panu«! a Maciej, już i poprzednio wyrażający swe zadowolenie to oddzielnymi słowy, to jakimś mrużeniem nieokreślonym, korzystając z przerwy przydłuższej, zdobył się na całą mowę:

— Ummm, pięknie! Różne listy słychiwałem, bo to i na *pryiskach* \*), i mnie i drugim różni pisywali, a i tu, choćby X. dobrze pise, ani słowa, ale cóż, kiej napise to mądrze jakby z książki, a słuchas i som ani krzty nie rozumies, takich słów ci natko, nie po ludzku jakościć; zaro wi dać, ze to albo ze zydów, albo

---

\*) W kopalniach złota.

z panów wielkich, albo z ludziami nie zywał; a tu właśnie za serce imo, po ludzku. O! to chłopacysko, jak przecyto, to się spłacie napewniako, nijok baba na kazaniu. Azeby tyz pon, kiedy prosić nie śmie — i głos jego rzeczywiście brzmiał bardzo nieśmiało — moim tyz — ot takuśki liścicek! oj to babsko moja rycałazby dopiro, rycała.

W czasie czytania listu do księdza, Maciej zachowywał się spokojnie, słuchał uważnie, a może i myśleć zaczął nad tem, co też ja jego babsku napiszę, czy odpowiem pokładanym we mnie nadziejom. Ale, gdy doszedł do miejsca, w którem proszę księdza o wotywę za umarłych rodziców szewca, w otworze do kuchni

wiodącym zatrzeszczało coś gwałtownie i Maciej stanął przed nami w całej swej imponującej wielkości. Wyjście jego było tak niespodziane i z takim hałasem dokonane, że patrzyliśmy nań zdziwieni. Maciej był niezwykle zmieniony i wydało mi się nawet, iż drżał cały; wyszedł on w milczeniu i stanąwszy tuż przed nami, z nogami jak zawsze szeroko rozstawionymi, szukać zaczął kieszeni, ale czy to szukać było niełatwo w fałdzistych hajdawerach, czy też z innej jakowej przyczyny, znalazł ją nieprędko. Znalazwszy, wyciągnął z niej mały woreczek i po długim rozwiązywaniu, ku czemu i zębów używał, wyjął z woreczka pomięty trzyrublowy papierek. Z papierkiem tym po-

stał trochę i, kładąc go nareszcie trzęsącą się ręką na stół, głosem proszącym, urywanym, tak przemówił:

— A kiedy już tak, to przy tej okazji, przy tej świętej wotywie za umarłych możeć i za nos, za nieszczęśliwych westchnienie zanie sie... a niechaj ze pon napise... niech tam... niech do Najwyzsego... do Przenajświętsej... choćby kości zaniść... a możeć... a się zlitują...

— Może się zlitują — powtórzył jak echo i szewc, już obok Macieja stojący.

I stali przede mną obaj ci ludzie starzy, w nieszczęściach osiwiali, jak stoją dzieci małe, niemoc swą czujące, przed ojcem surowym: stał szewc kaleka z głę-

boko zapadłemi oczami, na swym kiju oparty, stał i chłop ten potężny z rękami opuszczonemi, z głową kornie przechyloną, zanosząc cichym szeptem swą prośbę błagalną...

. . . . .



I siedzielibyśmy długo zapewne w ciężkiej zadumie, gdyby szewca wśród nas nie było; p. Stanisław pierwszy ocknął się z letargu, w którym byliśmy pogrążeni.

— Cóż do licha, na nic zbabiejemy! Macieju, ruszcie-no się! Toż kiełbasa tam się spali i gorzałka wywietrzeje! Ej, Macieju, a żywiej!

Maciej sunął do kuchni i choć niezbyt żywo wprawdzie, wrócił



ku nam, poprzedzony zapachem dobrze podrumienionej kiełbasy. Otrząsaliśmy się jednak z owego letargu tak powoli, że nawet i szewc rażny więcej miną nadrabiał. Toast na rzecz szczęśliwej minuty dla pisania dzisiejszego był tego pierwszym, a »Amin« Maciejowe dla owego toastu, Amen, poparte westchnieniem, jak z miecha kowalskiego wyrzuconem — drugim dowodem. Wódka jednak zrobiła swoje: wzruszenie, któregośmy doświadczyli, potęgowało jej działanie i po dwóch kieliszkach, tylko z listów, leżących w kuferku p. Stanisława, człowiek nie w ciemę bity mógłby się domyśleć, cośmy tu czuli i myśleli przed chwilą. Ostatnie może resztki smutków

rozpłynęły się wraz z piosenką,  
którą sobie zanucił p. Stanisław:

A gdzie drzewo rąbią,  
Tam wióry padają:  
Wtenczas ojcom miłe dzieci,  
Gdy im się chowają...

Ale i przeciw tak słabemu echu  
owych smutków rozweselony Ma-  
ciej energicznie zaprotestował:

— Ee! dałby już pon pokój  
tym dzieciom, ja ta pięciu mom  
i nietyła się o nich troskam, co  
pon o idnego!

Szewc widocznie uznał wielką  
słuszność tej śmiałej uwagi, bo  
zamilkł i machnąwszy tylko ręką,  
zapropozował mu nastawienie sa-  
mowaru. Głośno i wesoło speł-  
niał Maciej swą robotę w ku-  
chence. O ulubionym swym po-  
sterunku, »ławecce trocha moc-

niejsej», zapomniiał on zupełnie i wyszedł ku nam niebawem. Głos jego z wymogami akustyki pokojowej zawsze w najzupełniejszej niezgodzie będący, brzmiał teraz, jak może kiedyś w one lata na polach i niwach mazowieckich. A gdy mówił, to jednym krzykiem, intonacją wyrazistą nie ograniczał się wcale: mówił o robocie jakiej, to gestykulował, wymachiwał rękami; gdy wstać należało, wstawał natychmiast, sięść — siadał; zżymał się, cofał; ścisnął i rozwodził palce, ale robił to wszystko tak, jak mówił, powoli i dokładnie. Nie wymówił ani jednego słowa, nie opowiedział ani jednego faktu, aby opowiadania swego nie poprzeć, nie ilustrować wyrazistą mimiką,

ruchem, pozą, które, o ile mógł, starał się zawsze zrobić odpowiedniemi rzeczywistości. Ot i teraz, gdy wskutek jego protestacyi przeciwko smutkom szewckim zapytał:

— A to aż pięciu synów macie, Macieju?

— Pięciu, jak pięć tych palców u ręku — odparł Maciej i rozwinął mi przed oczami swą pięść ogromną, rozczapierzając palce starannie. A śmiał się z byle czego, zawsze długo i serdecznie, trzęsąc się całym ciałem, śmiał się tym śmiechem, którym się tylko dzieci śmieją.

Ale nietylko śmiech jego był podobny do dziecinnego. Wielka szeroka twarz Macieja przypominała mi swym spokojem we-

wnętrznym, który się na niej malował, twarz dziecka, tę twarz dziecka malutkiego, której rysów jeszcze myśl wewnętrzna ni upięknia, ni wykrzywia. Głowa Macieja w porównaniu z jego wielkością i objętością wydawała się mniejszą, niż była w rzeczywistości. Kark szeroki jeszcze bardziej ją zmniejszał; gdy zaś usiadł, ręce zawsze o kolana opierając, to z tyłu głowa ta nikła jakoś zupełnie i podobny on był wtedy bardzo do kopy siana ostro zakończonej, a z boku przypominał mi owe niezgrabne, lecz poważne figury i wyobrażenia, które ludzie wieków minionych na skałach i kamieniach wykuwali.

Wogóle im dłużej mu się przyglądałem, tem silniejszą stawała

się we mnie chęć poznać tego wielkiego chłopca trochę bliżej, dowiedzieć się o nim coś więcej. Postanowiłem więc skorzystać z okoliczności, która być może nie prędkoby się później przytrafiła i przesiedzieć już cały wieczór u szewca.

Maciej rozgadał się ogromnie, gadał pytany i niepytany, był mówniejszy, niż się spodziewałem; chociaż jednak mówił dość bezładnie, od przedmiotu odstępował zawsze dość daleko, słuchałem go ze wzrastającym zajęciem. W opowiadaniu swem teraz nawracał on najczęściej do życia swego w kopalniach złota, »na pryiskach«, jak sam mówił. Jakkolwiek życie tamtejsze znanem mi było z wielu najrozmaits-

szych opowieści, słuchołem go cierpliwie, ciekaw wskazówek w kwestyi dość drażliwej, w jaki to sposób zebrał on kilkaset rubli tam, gdzie środki z bogacenia się są zawsze, rzadko jednak godziwe.



— I holowałemże ja, holowałem na tych pryiskach — ciągnął Maciej po powrocie z kuchenki — postawili mnie z początku w siachcie, ale jakoś zobaczył mnie sam *uprawlajuszcy* \*).

— A cto jeto za wielikon ta-koj, — po naszymu niby to wiel-

---

\*) Zarządzający kopalniami. Mowa tu o prywatnych kopalniach złota tak zwanego olekmińsko-witymskiego okręgu.

golud, pyto, o! jakby to ludzi, psionkrew, nigdy nie widział.

— Powiadają mu: to Maciej bandzie, iz polaków.

— Chorosy ze polak, dawać tu jego!

— Posłali po mnie; przychodzę, czapkę zdjęnem — i Maciej sięgnął rękami do głowy — ale się nie kłaniom, ni! bo co mi ta?

— A to taki głupi, pyta się, ty otkuda? — Hi, hi, hi! a otkudaże mam być, kiedy z Polski jezdem! a potem znowu: a chleb ty umiesz piec?

— Na przekpiwanie muie wzion czy co, pomyślałem, ale nie pokazuje tego po sobie i powiadam: kiej to babska rzecz, to jest niby babskie dzieło, a nie muzyckie, tłómaczę jemu; zrozumiał czy nie



zrozumiał, lichy go wie, tylo ka-  
zał wziąć mię do pomocy *chlebo-  
piokom* \*).

— Ale w tej piekarni rozpusta,  
pijaństwo a złodziejstwo, Boże  
odpuść! ale we nic się nie wtrą-  
cam, robię, co mi każą, a pilno-  
wać czy naglądać nie kazali prze-  
cie. Tylko moje chlebopioki, jak  
zobaczyli, że się ich słucham i  
mogę za dwóch, a do niczegoj  
się nie wtrącam, dawaj hulać je-  
szcze lepiej — pijatyka jak w karcz-  
misku. Przychodzi uprawlajuszczy  
raz, drugi, chlebopioki pijane, ja  
tylo jeden haruję kule chleba  
tego. Popatrział i poszedł. Przy-  
chodzi na drugi dzień znowuj,  
a u nas batalija cała idzie: po-

\* ) Piekarzom.

bili się z tego pijaństwa. Kazał ich pozamykać do katałażki \*) i pyta znowuj:

— A umiesz chleb piec tero, nauczył się? Ano to m zrozumiał, że nie przekpiwa, śmieję się, i »ajakże, nauczył się, nauczył się«, powiadam. Kazał mi być starszym chlebopiokiem. Co było mąki w piekarni wzięni i wydali mi preporcyom na cały tydzień. A mąki było niemało, bo więcej jak na dwiestu ludzi piekło się u nas. Piekę se tedy i kalkuluję tak, żeby mi starczyło; tylko tydzień kończy się akurat, uprawlajuszczy jest znowu:

— No cóż, Matwiej, powiada, mąki chwaciło?

---

\*) Do kozy.





— Nic nie mówię i wiodę go do stancyi, w której mąka leżała, i ot pokazuję, co się ostało, a ostało się bez mała trzy kule \*). To, jak zobaczył, oczy tylo wytrzeszczył:

— Ano choroso, choroso! powiada. Zawołał zara materyalnego \*\*) i kazał mu, aby z kóznego ostatku zapisował zawdy połowę na ekonomijom do magazynu, a połowę dla mnie na nadgrode.

Ale że to na takim pryisku różnie bywa, to ludzi co niemiara i tknąć ich niema gdzie, to znowu jak zaczną uciekać i do siach-tów nie starczy, stałość się i wtedy

---

\*) Kulem zowie się worek, zawierający 5 pudów mąki.

\*\*) Materyalny — ofycyalista, zarządzający magazynem prowiantowym.

tak: tu roboty pilna na gwałt, a tu ludzi mało.

Wzięli mi z początku jednego robotnika, później drugiego i po tygodniu, i więcej, z jednym się tylko ostawałem, a to dzień, dwa i zupełnie sam. Od świtu do świtu stoję przy dzieży i przy piecu. To już jak mi robotników zabiorą, uprawiajuszcy, widząc, jak się ze mnie pot ciurkiem leje:

— Wódki, krzycy, dawać Matwieju, ila zechce! Pij, powiada, ila chcesz. Ja se wódki nie żałuję, aleć zawsze źle już szklanka, a to i pół butelki co dnia się ostanie. To już moje i kiepsko rubla codzień mam z tego \*).

---

\*) Wódka w kopalniach znajduje się tylko w magazynach i składach właścicieli

Ale czy od holowania tego czy co, zaniemogem jakoś odrazu, odjęło mi ręce i nogi, plamy czarne poszły po ciele, a zęby jak klawisze we organach latają. Do szpitala. Doktor mówi: cynga \*). Cynga czy nie cynga, tylo ze mną coraz gorzej. Aż tu dopiero jeden z *roboczych* \*\*), co w bolnicy takż leżał, ruski jakiś, człek stary

---

kopalń i wydaje się wszystkim w porcyach ograniczonych. Wskutek tego kontrabanda wódki jest tu bardzo rozwiniętą. Wiadro spirytusu sprzedaje się tu zwykle za sto rubli i to spirytusu bardzo kiepskiego. Trzeźwy i mocny robotnik, który przy ciężkiej pracy może się obejść bez wódki, sprzedaje zwykle swą porcyę i z tego ma grosz ładny.

\*) Skorbut — zwykła choroba w kopalniach złota.

\*\*\*) Robotników.

i *brodiaga* \*) bywały, powiada mi: Ty ich nie słuchaj, nie słuchaj i doktora, bo cię zaleczą na tamten świat, a ot posłuchaj dobrej rady: poślij kogo po muchomory do tajgi, nałóż ich pełną butelkę i jak postoi, a nabierze mocy, pij w dzień jeden kieliszek nastoju i wódki, ile wlezie. Zrobiułem akuratnie, jak kazoł i po tygodniu, jak rękóm zdjęno.

Tylko ten sam roboczy znowu, widzę, przychodzi, myślę sobie po poczęstunek, postawiłem poczęstunek dobry, a on powiada:

— No i cóż ty myślisz?

— A jo myślę, że to dobra stuka, tylo nie do trzech raz.

---

\*) Włóczęga; brodiagą zowie się deportowany, który uciekał z Syberyi, zmieniał nazwisko i t. p.



— I dobrze, myślisz, on znówuj, widział ty, powiada, jak *powar*\*) dla uprawiajuszczego mięso ze żyłów oczyszcza na kuletki?

— A jakże nie miałem widzieć, widziałem, powiadam.

— No to widzisz, jak tu ostaniez, to i z ciebie wszystkie żyły powyciągają, siłę twoją wielką zabiorą. Zebrałeś trochę grosza, to i ruszaj stąd, nie oglądaj się na nic.

— Wyszedłem tedy ze szpitala i po *razciot* \*\*). Ale korowodów miałem niemało; »ostań się i ostań«, powiadają, »i pensyjom damy większą i to, i sio«. Ale jo ni, dobre pinądze wase, alic dro-

---

\*) Kucharz.

\*\*\*) Rachunek.

gie, powiadom. Uprawiający okrutnie się rozgniewał, »durak«, krzyczy, i rozrachowali mię, a dostałem do ręki bez putorasta tysięcy rubli równo.



— I czyż rzeczywiście piliście ów nastój Macieju?

— Aa! pirse likarstwo! odparł zapytany, ale gdy szewc, zrozumiawszy budzące się we mnie wątpliwości, usuwał je znacząco wypowiedzianem objaśnieniem:

— Aktualnie, takiej maszynie i dwie butelki muchomorów nie zaszkodzi. — Maciej miana tego już nie przyznał sobie:

— Cy to ja tero masyna, buj się pon Boga! a dyć ze mnie połowy się nie ostało!

— Więc grubszy byliście?

— A no, mówię przecie, nie taki bułem! I do czego to ja tero podobny, jak ten charcisko ście-  
niałem! abo to ręka? — i odwi-  
nąwszy rękaw koszuli, ukazał nam  
rękę, którejby niejedna noga po-  
zazdrościła. — Cy to noga? —  
i obcisnąwszy rajtuzy szerokie,  
z politowaniem szczerem patrzył  
na jej łokciową objętość. — Nie  
taki bułem, — zakończył z wes-  
tchnieniem.

Domyśleć się łatwo, że mi o  
westchnienia podobne bardzo cho-  
dziło; grunt zresztą już był nie-  
źle przygotowany i Maciej, tak  
rzadko zapewne doznający ulgi  
wywnętrzenia się szczerego, dziś  
już i tak wzburzony, nie potrze-  
bował silnej podniety. Dość było,

żem go słuchoł z niekłamaniem zajęciem, dość więc było, gdym powtarzać zaczął częściej i z naciskiem silniejszym: a co, a jak, a czyż? Na każde takie pociągnięcie »ho, ho!« maciejowe odpowiadało coraz głośniej, twarz silniej kraśniała i gdy zagotował się samowar, Maciej wymówił już szewcowi posłuszeństwo i nie chciał nalewać herbaty.

— Cy to jo nigdy i pogodać nie mogę i cy to jo gadom z kim kiedy? pon we sklepie, pon wi, jak i obyjsć się i gadać z ludziami, a jo przecie nijok nie mogię; boć nietylko z tutejsymi, ze swemi nijako mi, taki jo prosty! Kucno samymu i z ciała spadom nie darmo, aleć do nikogoj nie lazę, bo i ludzie ze mnom kucejo.

A tu panisko kóżne słowo ludzkie rozumi, nie wydziwia, nie wyśmiewo i jok ze swym se gadom. I na sercu lzy zaro. Nalijze pon som, a mnie juz nie trza tygo caju głupiego.

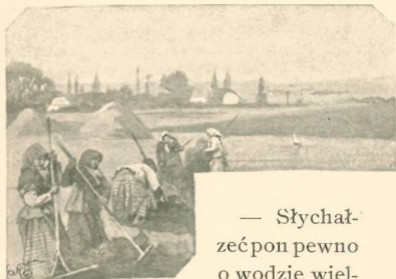
Szewc, jakkolwiek oburzony tak wyraźnem przewróceniem porządku społecznego, udobruchał się jednak i zajął herbatą, a Maciej, uwolniony od jednego z najprzykrzejszych swych obowiązków, stał się jeszcze weselszy.

Usadowiliśmy się oba na kanapce. Maciej miał mi opowiadać swe dawniejsze dzieje. Czerwony on był jak piwonia, ale rzecz dziwna, usiadł i zamilkł, i choć już parę razy zagabywałem go: »no i cóż Macieju?« — Maciej milczał. Tylko głębokie

sapanie wskazywało, że milczenie owo nie oznacza zamilknięcia zupełnego. Przeciwnie, to myśl, zwolna pracująca, roznieca i rozpala mego narratora.

Maciej siedział jak zawsze prosto, z szeroko rozstawionymi kolanami, na których spoczywały obie ręce, siedział tak chwil kilka z oczami, jakby w przestrzeń daleką utkwionymi, siedział nieruchomo w ową przestrzeń, która się może przed nim odkrywała, zapatrzony i tylko twarz jego pałała. I już rzucić mu miałem nowe energiczniejsze pytanie, by go wyrwać z zadumy głębokiej, gdy Maciej, nie patrząc ni na mnie, ni na szewca, tak nam zaczął:





— Słyszał-  
zeć pon pewno  
o wodzie wiel-  
giej, rzyce bystrej i carnej, co  
Narwiom się zowie?

— Niedalecko od ty rzyki je  
trzy wsie niemałe Mocarzami  
zwane.

— Duzo wsiów różnych widy-  
wałem, na ludzi różnych patrza-  
łem; widziałem i tatarskie wsie  
wielgie, i cełdońskie\*) ni to miasta

---

\*) Wszyscy deportowani, bez różnicy wy-  
znań Rossyan syberyjskich zowią czeldonami,  
— ci zaś deportowanych — warnakami. Są to  
nazwy pogardliwe. Warnak od *wornag* —  
nagi złodziej.

rozległe, i brackie\*) ułusy i nad Angarą, i zamorskie\*\*) takóž, i we wsiach u siemiejskich, co za morzem mieskają i polakami się zowią\*\*\*), a zyją dostatnio, bywałem i nikaj, nikaj, wsiów nad nase Mocarze nie widziałem.

— Cegoz bo tam niema, co bo tam nie jest, Chryste mój miły! I podniosłszy obie swe ręce, Maciej wyciągnął je przed siebie.

— A te błonia, a pola, a te sianozęcia, jak łany! A te gaje, dąbrowy, a te zboza, jak złoto.

---

\*) Burjatów zowie ludność miejscowa brackimi.

\*\*) Zamorskiemi zowią się ziemie, leżące za Bajkałem.

\*\*\*) Staroobriadcy, mieszkający za Bajkałem, zowią się siemiejskimi v. polakami, wysiedleni tu w XVIII w. z Polski.



— Tu wielgie to wsyćko, a nieraźne jakościć: co tu w tajdze obacys, cem tu się w polu ucie-sys? Zokola jak grobem cię ob-daje: w górze sęp zaświsicy, w taj-dze miedźwiedź zarycy — ot i radość caluśka! U nas inacy.

— Wyjdziesz rano, a huknies po rosie, to jak dzwonem za-dźwięcy w powietrzu! Spojrzys na to stworzenie wesołe, a po-słuchos świergotu, co i ze ziemi, i z drzewa, i z wysoka z pod niebiosów się niesie, toć wesoło na dusy! a pociągnies wonności, co z tych polów, z tych łąków az biją, jak z kadzielnicy w ko-ściele, nabierzes tygo powietrza we siebie, to i siły przybywa we dwoje! Nigdzie i nikiem nie cułem w sobie ty siły, co w Mocarzach,

kiedy o wczesnym poranku słońko nase witałem! Tu i ranek nijaki, świat nie raduje się jemu: ni to ptak, ni to zwierz, ni to cełdon go nie zno. U nas inacy.

— Tyle ziemiów widziałem, całą tę wielką Syberyom do morza przesedem i ziemi zamorskiej kawał niemały, a ziemi takiej jak nasa nigdzie nie nalazem! aleć o tem tu się dopirowo dowiedziałem. Tu dopirowo! Cy jo tylo? Som ze u nas ludzie mądre, som i księżdzie, som i pany, som i chłopcy głowace i nikt nie wi, co majom!...



— Te wsie Mocarzami zwane, kóżna ma swoje przezwisko. Jedne niby to najstarsze zowią się Korzeniste, drugie — Suche, a trze-

cie najmłodsze — Mokre. Ja bandę z Mocarzów Suchych.

— Wieś to tyż duża, dziedzi-  
cem naszym był pan Olszeski, a  
byliśmy pańszczyzniani. Przy pań-  
szczyźnie, jak wiadomo, nie po-  
wiem, żeby dobrze się działo.  
Podrosem, miałem już pewno lat  
ze dwadzieścia, gdy Olszeski  
wziąć mnie kazał do dwora.

— A choleryk był z niego:  
zółty, suchy i mały, a i zły tyż,  
powiadam, jak ten ciort nad du-  
szami. Tylko że zły to on był  
prawdziwie, ale wtedy tylko, jak  
się rozgniewa, chociaż gniewał  
się byle o co i wtedy to pienił  
się ze złości, łaska boska, zawdyć  
jednak nie długo. Nakrzyczy się,  
namiota, pożółcieje jeszcze gorzej,  
ale jak tylko przestanie, mogli

mu później wszystko mówić, słucha i choć go trzęsie, nie gada. Był sprawiedliwy. Młodzi to nie można powiedzieć, żeby go lubili, ale co starsi, a gospodarze, zawsze nam mawiali: nie zważajta, że krzyczy, z dwóch psów zawdy lepszy ten, co głośno szczeka. I prawdę mawiali; nikogoj on prawdziwie nie skrzywdził, ludzi nie mordował, ale o tem już się później dowiedziałem. Tymczasowie wiedziałem jedno, że zły nasz Olzeski i bałem się go jak ognia. No i dalej zawdy ode złego. Tylko nie wiem już z jakowej przyczyny, ja od niego dalej, a on za to bliżej. Czepia się do mnie ciągiem, wydziwia, Bóg wie nie co, a wymyśla i bešta jak nieboskie stworzenie. No ale pamiętny, co

mi tatuś nakazowali, nie zważaj, że zły, pamiętaj, że sprawiedliwy, cierpię i cierpię i mi słowa nie pisnę. I długobym cierpiał tę poniewierkę, gdyby moj Olszeski nie przesolął. Wydziwiał rozmaicie i nakoniec, żeby mi już dopiec do żywego, zaczął mię zwać, to i tero nawet nieprzyjemnie spominać: »skurcybykiem i głupim drongalem«. Jak tylko bywało przyjdzie na podworze, co nie zrobię, co mnie nie zobaczy, choć uciekam przed nim, jak zając przed psem, zaraz krzyczy: Ej ty skurcybyku, ej ty głupi drongalu! a głos miał wcale nie wedle siebie, prawda, cienki i piskliwy, ale taki syczący, przejmujący, że go słychać było jak świstawkę. To jak mi krzyknie

tego skurcybyka abo drongala, aż się przewraca we mnie.

— Głupi ja to głupi byłem dla niego, ale nie za takiego już głupiego mieli mnie swoi. Czy to w karczmie przy skrzypce, czy to w polu przy robocie najcięższej, nie było we wsi parobczaka, coby sprostął się ze mną. Bo od roboty, jak i od ochoty, nigdy nie uciekałem, a siłę miałem, mówić nie darmo, nie taką jak tera; czego nikt nie zmógł, do tego Macieja stawili.

— A tu napaść taka, ponieważ nisz czegoj? Ano, myślę, dość już tego, dość już tej poniewierki, niech się dzieje wola boska, pokażę mu, że nie taki już skurcybyk, nie taki »głupi drongal jezdem«. Teraz to już nie wiem, czy zmógł-

bym, ale wtedy to tak było, że ni jednej fornalki u nas nie było, którejbym nie zatrzymał; jak wezmę za zad, bij, zabij, konie nie ruszą. Z cugowemi nie próbowałem, stangret nie dał: »złomies jesse karyte« powiada, a potem mnie się za ciebie dostanie. Ale, niech już co chce będzie, spróbuję.

— We święto to było, kazał zaprzęgać, ale nie do kościoła, bo som tyło wysed, widno do miasta jechał, wysed, usiad se dobrze, drzewicki zamknąn i ceka, a lubiuł, zeby konie wraz brały i ostro brały.

A ja już stojem z tyłu, nogi rozstawiłem dobrze, zeby oprzeć się można; jedną ręką pod bok się wzięm, a drugom — za

zadek ty karyty, a serce to mi jak młotem wali, bo i nie utrzymom moze takich wypasionych hamanów, myślę sobie, a najgorzy pirse sarpnięcie. Wsyćkom siłę zebroł — natęzułem się i konie sarpły, az mi w rękę zatrzescało, sarpły raz, sarpły drugi i — ni kroku z miejca.

— Rusaj! zapiscało z karyty, a tu pani z panienkami w oknach stojom i chušteckami wymachujom.

— Rusiaj, trutniu! zapiscało, ale ju ze sykiem.

— Widno jednak, Wacho stary domyślał się, co to za jenteres, bo jak obacuł, ze konie az się spinajom, a z miejsca rusyc nie mogom, koni nie zacina, aby, broń Boze, nięścęcia nie było,







nie zacina, tylo obraca się ku niemu i powiada, a jakze mom rusiać, kiedy Maciej pewno trzymo?

— A to skocuł, jakby go wrzątkiem podlał, a trząs się tak, ze tchu złapać nie móg i odwrócił się, i patrzy bo karyta spuscona była, a cały az zielony, patrzy mi prosto w ocy, a ja trzymom i jakem juz raz spojrział na nigo, nie odwracam się i takoz patrzę, tylo od trzymania tego to mi żyły się ponaprzęzały i krwią nabiegem cały i jaki byłem, nie wiem, tylo mój pon popatrzuł, popatrzuł i ja tu myślę, Bóg wi nieco ze mnom tero zrobi, a on... zrozumiał, widno... Ześnurował usta i uśmiecho się i ot te tylo słowa: »a toś mocny, a toś mocny! no puść tero, Macieju«, powiada.

— Puściułem, konie porwały, myślałem, że poniesom może.

Maciej usiadł zmęczony, gdyż całą scenę zatrzymania powozu odtworzył przed nami z możebną ścisłością: stał pod bok podparty, trzymał ręką powóz koźmi silnemi szarpany, patrzył groźnie swemu panu w oczy, sam z oczyma krwią nabiegłemi, rękami konwulsyjnie ściśnionemi...

I jeżeli w niezgrabnych juntach\*), osiwiały, osłabły, w pół z ciała spadły, pięknym i groźnym Maciej wydał mi się, jeżeli dziś jeszcze oczy jego błyskawice miały, to jakimże on być musiał

---

\*) Unty — albo junty, obuwie bez obcasów z miękką podszewką i szerokimi cholewami.

wtedy, gdy stał tak kiedyś przed panem, w obronie swej godności ludzkiej?



— Od tej pory, ciągnął Maciej po pewnym przestanku, mój pan inny. Nie odrazu, co prawda, bo z początku stronił ode mnie i choć bestać przestał, słowa długo nie wymówił. Ano, myślę sobie, gorzej będzie, bo napewniaka szykuje mi co takiego, że ruski miesiąc popamiętam. Ale ni. Zaczął i zagabywać mnie potem, a zawdy dobrze, zawdy po ludzku i rok nie przeszedł, »pirse łaski mom u niego«. Czy gdzie posłać, czy z pieniędzmi, czy z panią abo z panienkami, nikt tylo Maciej, i już później, jak mnie poznał, to i nie zakazował: »a nie

upij się, a nie zasiedź, a koni nie zamorduj«, powie tyło to i już, jak w książce napisał, wszystko je, jak przykaże. No i polubiałże mnie! i bez te kilka lat, co byłem jeszcze we dworze, słowam marnego nie usłyszał. Dobrze mi było. Tylko we dworze dobrze, aleć warto i o sobie pomyśleć. Ja ta sam, co prawda, choć mi tatuś o tem nieraz gadali, niewiela o tem myślałem i nieprędko bym pomyślał, żeby nie ożenek. Bo i czegoż myśleć o lepszem, kiedy mi dobrze było, a od dobrego nikt nie ucieka. Robota była, ale i wesela niemało.

— Z jednych dożynków co to radości bywało, a w karczmie co niedziela skrzypek nasz mocarski

jak zagra, to i starym nogi podrygują!

— A dziewczuchy nasze? Ii! nigdzie takich niema! bo choćby i tu na ten przykład, czyby choć razik pokazała się jaka do mocarskiej naszej dziewczuchy podobna?

— Zachciało się Kasi gruszek, znalazł, gdzie ładnych dziewczyn szukać, myślę jednak, że u nas w Wiślicy znalazłaby się niejedna od mocarskiej lepsza?

Maciej dość pogardliwie zmierzzył szewca i, nie odpowiadając mu nawet, prowadził rzecz dalej.

— Przyjdiesz bywało, gdy się już zbierom, to jak te kwiaty, jak lilije same! a usłyszysz, jak chichoczą chi, chi, chi! jak z za fartuchów ślipiami błyskajom, to

i sam nie wiesz, jak krzykniesz:

— Hu, ha! Ognia chłopcy podkówkami! ano, grajku, grajże żwawo! a oberka, a moigo, różnij od ucha!

I Maciej byłby puścił się w pląsy, bo »hu, ha«! wyrzucił z taką siłą, że aż w uszach zadźwięczało; gdyby szewc, urażony lekceważeniem poprzednio mu okazanem, nie osadził go uwagą:

— Fartuchami zakrywają? zwyczajnie prostota!

Maciej, już porywający się, usiadł, szewcowi jednak nie przepuścił.

— Prostota? wiadomoć, nie tak jak w mieście, gdzie wszystko zaro na pokaz. Ale nie wydziwiołby pon. A pomiędzy temi



dziewuchami to najbardziej mi się udała...

— Kaśka? szewc wtrącił.

— Ni, nie Kaśka, tyło Maryś właśnie, a dziewczucha to była między mocarskimi pirsza, a choć jedna w domu była, bo bez matki, rządna, pracowita, zawdy czysto kiele niej.

— W polu zawdy przodownica. Kiedy, bywało, stanie na zagonie, to, gdy drugiej i nie widno we zbożu, Maryś moja się nie scho-wa i choć zagony duże, puto-raczone, spojrzysz z tyłu, to się widzi, z pół lichej bezmała zaj-muje! Dziewka była krzacasta, w sobie dobrze rozrośnięta, a cerwona, jak ten mak w ogrodzie, jak ta wiśnia na słońcu. A jędr-na tyz była w ciele, to i opo-

wiedzieć nijako. Zechces uscy-  
pnąć bywało . . .

— A gdzieście szczypali, w gębę?  
przerwał szewc impertynencko.

— Nie wydziwiałyby pon! Cy  
to ja z panów, abo z mieskich  
jakich, zebym scypał dziewczkę  
w gębę, a swoją Maryś jesce?  
Scypałem, gdzie trza . . .

Szewc tryumfował i teraz, gdy  
zdołał dowieść nareszcie czarno  
na białem jego zupełnej niezna-  
jomości form towarzyskich, tej  
najprostszej przyzwoitości miej-  
skiej; z wyrażeniem nieskrywa-  
nego zadowolenia i ironii słuchoł  
objaśnień maciejowych.

— Scypałem, gdzie trza, po-  
wtarzał tymczasem Maciej gada-  
tliwie, ale po próżnicy, bo nijok  
nie można; siłę w palicach mia-

łem przecie niemałą, a zechcę uscyplnąć, nie mogę. I wielki palec do zgiętego wskaziciela to przykładając, to odejmując naprzemian, strzygł w powietrzu palcami jak nożycami, okazując nam w ten sposób próżność i bezskuteczność swych wysiłków. »A choć i przyprzes ją gdzie bywało i tknies dobrze palicami, nie hierom, opsną się zawdy. Dziewka, jedno słowo, jak rzepa«.

— Zalicanki więc do niej prowadzę i dziewcyna, widzi mi się, nie od tego, bo i zerka zawdy, i tańcuje ze mnom najlepi, tylo, myślę sobie, obacę, jak te moje jenteresa idom. Więc w niedzielę raz, z wiecora, wypatrzułem, jak śła na tańce, a trza jej było przeleść bez przełaz kiele wojtkowy

chałupy. Stanąnem se tam i stoję, a cekom. Słyszę nareście, idzie, słyszę, bo słychać zdaleka, jak stąpa moja dziewczucha. Przysła do przełazu, nogie dobrze podniesła, przefajtła się na drugom stronie i juz ma zeskoczyć, az tu, patrzący na to wsyćko, nie wytrzymałem — skoculem do płota i łap jom w pól, a, widzi pon, je piosnecka jedna taka, co się końcy:

»Leci kacor z jeziorzyska,  
Nie odwracaj ze mi...«

— Więc tę piosneckę śpiewający, trzymom i chce pocałować, alic nie wymówiulem słowa, co je do składu, bo się mówi: »nie odwracajze mi pyska«, jak mnie nie trzaśnie między ocy, az mi w ślipiach pociemniało i nie opa-





miętałem się jesce, a tu, chlast! mię w pysk z jedny, chlast! z drugi strony i »na ci pyska, na ci pyska, galanciku! a wara! a zaśię!« krzycy i chlasta, i chlasta, jak kijankom po wodzie.

— O rety, o la Boga! co za napaść taka! a to tak ogłupiałem, ze się nijok opamiętać nie mogę, a cuję tylo, bo dziewczka krzepka była, jak mi pyski rosnom od tygo chlastania. Przystała nareście, siadła se na płocie i dopiro dojmac mi i molestować:

— A cy to ja się od was takiego sromu spodziewałam, Macieju, a cy to ja jaka taka, a nie gospodarska córka, a cy to ja dworska jaka, a wietrznica, cošta bez przełaz do mnie drogę naleźli?

— A no to, jak mi to powiedziała, zmiarkowałem, tyło ze nie przysedem jesce do rozumu, to i zeskokcyło mi z języka:

— A bez co? powiadam, a no to znowu jak ziaru na niom syponn.

— Bez co, bez co? krzycy. A cy to wy mały, a nie parobek jesteśta? Widzis go, mądrała do zalicanek się zabiera, a nie wi bez co do dzieuchy utrzymałej droga wiedzie? a bez ojców, a bez rodziciela! kiedyśta dureń, to wam powiem!

— A no to tak mię za serce jęna, ze oniemal nie rozbecałem się jak ciele.

— A przyjnieta? powiadam.

— Abo wy krzywy, abo jaki, abo to was ojce nie znajom?

— A ty, Maryś? mówię.



— No, a jakże, ajuści, powiada, jak ojce kazom.

— Uumm, a to dziewczka, myślę sobie, dobra! to tak mi się udała, ze byłbym juz nie zwazał, ze jeszcze moze się rozgniewa i obłapiułym jom znowuj, aliści nadysed ktoś; ona zeskocyła i poleciała na tańce, a ja posedem do domu, bo pyski mi powyrastały jak bułki łomżyńskie, co tatuś bywało po trojaku z jarmarku przywozili. Nie wiecierzałem juz, tylo zawałułem się spać na wyśki, no ale na drugi dzień idę do ojców i powiadam tak i tak, zeby zaro dziewostęby. Choć dziwowali się dlaczegoj tak obcesowie, ale uparem się i prosiłem; najgorzej tylo, jak z panem? No ale trudna rada, bez niego się nie obyndzie, poszedłem

i też uprosiłem, a obyszedł on się ze mną wcale po ludzku i ze służby puścił i dał początkowie pola obsianego i na dwudziestomorgowem gospodarstwie posadził.

Daliśmy na zapowiedzi i wesele tośmy mieli, jak starzy w Mocarzach nie pamiętali, bo i moi, i jej ojce, choć nie bogaci, ale zasobni byli gospodarze, a co juz do wypitki, to pan od siebie postawił, no i hasaliśmy, hasali!

Maciej urwał raptownie.

— I nie było już mi zycia na świecie, jak bez te siedem lat z moją — zaczął Maciej znowu, ale powoli i dobitnie, jakby odmierzając każde słowo.

— Maryś dziewczka rzadka była, aleć baba jeszcze lepsza.

— Kózny rok prawie, kiele Bo-

z tego Narodzenia, no to już się i rozsypie, alić kłopotów żadnych z tego, bo i trzechby zaraz karmić mogła. A chłopaki wszystko byli, a we mnie kózny kubek w kubek jak ulany.

I żałość, którą posłyszeliśmy w głosie Macieja i przestanki, którymi sobie folgować zaczął, zwiastowały opowieści wesołej koniec blizki.

— A w domu czysto i rządnie i wedle jadła, i wedle przyodziewku, dopowiadał Maciej miarowo.

— A co po gospodarstwie, to i mówić nie trza.

— Wiodło mi się: ptasiego mleka brakło tylo...

Maciej zamilkł, a my poczuliśmy jakoś, że z ostatniem jego słowem pękła złota nić tego życia, które

już tylko sztucznie nawiązywać mogliśmy; poczuliśmy, że inną będzie dalsza opowieść i zatęskniliśmy za tem życiem i żal nam się go zrobiło i choć wiedzieliśmy, że napróżno, łudziliśmy się jednak nadzieją, że ot jeszcze może choć na chwilę usłyszemy śmiech wesoły, popatrzymy na życie niewykolejone. Ale Maciej zwiesił na szeroką pierś swą głowę wspomnieniami rozkołysaną i milczał posępny łowiąc może ostatnie blaski znikających bezpowrotnie dni jaśniejszych lub może, oglądając, wyłaniające się przed nim z mroku dawnej przeszłości, dni trwogi i bólu.



Na dworze srożyła się śnieżycą i dzikie wycie wichru teraz wśród

ciszy, panującej w izdebce, dawało się słyszeć wyraźnie. A ot teraz jękło głośniej i zatrzęsło okiennicą, jakby siląc się wysadzić ją z zawiasów. Maciej usłyszał to zapewne, bo podniósł głowę i jakby kończąc myśli własne, wyrzekł nareszcie.

— I wszystkoćby może i do dziś tak było, gdyby nie ta kara boża.

I nam nie żal już było życia dawniejszego, żal nam było teraz Macieja, i widząc, że on cierpi, nie zmawiając się, zrobiliśmy obaj jedno, cośmy zrobić mogli: ja przysunąłem się doń jeszcze, szewc przeskoczył ze swego łóżka na drugą stronę kanapki i także usiadł koło niego; może mu lżej będzie, gdy poczuje nas bliżej przy sobie.

— Gdyby nie ta kara boża... powtórzył tymczasem Maciej powoli.

. . . . .  
— Od tej pory znalazła się i dla mnie robota i rzadki już dzień w domu nocowałem. Całą okolicę znałem na dziesięć mil wokół, więc, jak trza gdzie co, mnie wszędy. I z listem, i bez listu; i konny, i piechty latałem dnie i noce całe. To odwieźć, to przywieźć, to przeprowadzić. Bywało, tyło co przyjdę abo przyjadę i powieczerać siądę, a tu już pan stuka do okna. Więc chleba kromkę, sera kawał w zanadrze i w drogę. Maryś tyło w kącie popłakuje, rzadkiej sumy w kościele krzyżem nie przeleży.

— Ale Bóg chronił. Konny, co

prawda, nie bardzo lubiłem, bo od siły tej mojej to i konie prędko ustawały, piechty zawdy jakoś różniej mi było.

. . . . .  
Tak mi pół roku zeszło. Pamiętam aliści, przyszedem z ostatniej drogi, z Piekiełka jakoś. Błoto jedno takie w lesie, co tylko wiadomy mógł przejść po niem, tak się zwało. Ale przyszedłem, siedzę w domu dzień, siedzę drugi, nie przysyłają po mnie ze dwora. Siedzę trzeci — też nikogoj nie widno.

— Co u licha? czy zasłabł, czy co?

— Przypytyuję dworskich. Ni — powiadają — chodzi, jeździ nawet, nieswój tylo jakiś, bo i krzyczeń przestał. Pytam znowuj: czy

nie nakazował co do mnie? Nie — powiadają, nie nakazawoł.

— Coby się stało, rozumu nie nabiorę. Maryś, zwyczajnie baba głupia, to i rada, »a — powiada — rozlatałeś się, to i w domu ci niemiło, nijako«. No, ale jakem jej powiedział: stul gębę, Maryś, bo ci som stulę, — widzi baba, że nie kpiny, milcy.

— Tyło już na czwarty dzień nie wytrzymałem; przyodziałem się, idę do dwora. A choć bez te pół roku, to już bez meldunku wchód miałem do panowego pokoju i we dnie, i w nocy, poszedem do kuchni, żeby mu powiezieli, że Maciej przyszed.

— Zawołał. Wchodzę, pokłoniłem się, a on prawdziwie jakiś nieswój: chodzi jak zwarzony,



w papierach coś szuka, a na mnie, kiedy mówi, to i wcale jakoś nie patrzy. A bywało, toć zawdy oko w oko, słowo powie, to rozumiem. Teraz nie ten.

— Ano dobrze, dobrze, Macieju, a co powiesz? powiada.

— Dziwuję się niemało, bo i co ja powiedzieć mu mogę? No, ale kiedy pyta, to i mówię: a przyśzedem, czy niema co wedle drogi, proszę łaski wielmożnego pana?

— A no to znowu toż samo; dobrze, dobrze, właśnie myślałem, chciałem sam posłać po ciebie, trzeba list zawieźć do Korzenistego.

— Usiadł, napisał i daje.

— Nie widzi mi się to, co prawda, boć wiem, że do Korzeniste-

go nijakich takich interesów nie ma; no ale znowuj i myślę też, głupi ja jestem, skąd mi o wszystkim wiedzieć i choć mi się ta droga nie wydaje, zawdyć już różniejszy się stałem.

— Sprawilem się prędko, wracam i pytam już sam, kiedy przyjsć przykaże?

— A, powiada, tera pewno prędko nic pilnego nie będzie, a jak co będzie, to pošlę po ciebie, i też, mówiący to nie patrzy i nie swój. Tknęło mnie to, boć wiem, że i sam lata i pošyla takich, których dawniej nie pošylał, no, ale mówić nie śmiem, idę i czekam.

— I znowuj czekam dni kilka, a ze dwora ani słuchu ani ducha żadnego. Nie wychodziłem bez

ten czas z podwórza, bo, co prawda to prawda, od chodzenia tego to się zawdy kiele domu roboty nabierało niemało; oporządziłem się krzynę i wylazem do ludzi.

— W sobotę wieczorem idę do karczmy. Tyło przechodzę kiele tej wojtkowej chałupy, co je przełaz kiele niej, stało tam ludzi kilku, a stali za węglem, to i nie widać im mnie było, kiedym podchodził. Podchodziłem, słyszałem wyraźnie, jak głośno rozmawiali, a podeszedem bliżej i zobaczyli mnie, to spojrzeli jakoś po sobie i jak makiem zasiał, ani słowa jednego; powiedziałem »pochwalonego«, to tyło Jędrak mruknął: »na wieki«. No, myślę, możeć o czym między sobą gadają — przeszedem.

— W karczmie to samo, gwar-  
no było, bo chłopów kilkunastu,  
jak zawdy przed świętem siedziało  
i przy wódce i przy piwie; wcho-  
dzą, spojrzeli i cicho, jak na ko-  
mendę odrazu się zrobiło.

— Nie zwazam jednak, pod-  
chodzę, przysiadam się i podać  
kazałem, ale widzę, ludzie ze mną  
jak nie ze swoim gadają. Co u  
Pana Boga?

— Czyby za moją służbę pa-  
nu, czy co?

— Aleć jak o tej służbie mo-  
jej, tak i o tem, że choć z jego  
poręki, a dyć przecie nie jemu  
służę, dawno ludzie wiedzieli i  
tego nie było. Musić to co in-  
nego tedy? I nieswój wcale wra-  
cam do domu.

— Tylo Maryś, jak spojrziała

na mnie, widzi zrazu, je coś, no i zaro: a co ci, a mój ty? jak baba zwyczajnie. Jak zaczęna dopytywać, a widzę, sama już, Bóg wie nie co, myśli, powiadam: ot co, ludzie ze mnom tero inaksi, a od cegoj, nie wiem? No i mówię, jak było. Ano to jakem tylo powiedział, Maryś rękoma plasnęła i wiem, powiada, bez kogo to, i, patrzy mi się, prawdziwie, bez nikogoj inszego, tylo bez tego ładaco, Mateusza.

— A Mateusz brat mój był starszy i choć to ludzie mówią, niedaleko jabłko od jabłoni pada, na ten raz nieprawda, bo ani ojce, ani dziady takimi nie byli, ładaco i nic więcej.

— Cóż bez niego? powiadam.

— A to bez niego, Maryś ga-

da, że ludzie o nim źle mówią, i choć nie w oczy mnie, albo naszym, ale słychniwałam i ja, i ojce, jak wygadują: »Oba, powiadają, latać zaczęli, tylo opacnie, jeden tu, drugi tam«. I mówią znowuj drudzy: »Kruk krukowi oka nie wykole, co Maciej we dworze się dowi, to Mateus koleniście niemcowi albo Joskowi przedo«; no i jesce... Ale ja już nie słuchołem, włosy mi dębem stanęły na głowie.

— A cóż ty nie gadałaś, jucho? i ręce podniosłem, ale Maryś jak wodą mnie oblała:

— Co, powiada, sialeju się najadeś czy co, co wrzescys jak opętany? toć chciałam z tobą po ludzku pogadać, a kazałeś mi gębę stulić, zabacułeś czy co?

— Zesłałem na nic, a nogi to jakby mi podcięło, ustoć nie mogem, dygotać zaczeny.

— Aleć, Jezu ty mój, toć nieprawda chyba? a choćby i prawda, a czy to brat za brata odpowiada. kiedyć i z ojca za syna nie pytają? I leżę sę, i myśli różne mi przychodzą, i noc całą oka nie zamknąnem. Na drugi dzień idę do kościoła, pomodłę się, ciemny jestem, do dwora iść nie śmiem, możeć Bóg mi pomoże.

— Do kościoła idący, już się nie zatrzymuję, na ludzi nie patrzę. Modliłem się bez sumę całą, no i spokojniejszy się stałem i umyśliłem sę pójść do brata i rozpytać, co to i jak to on robi.

— W kościele jednak pod koniec też widzę, ludzie jakoś oglą-

dają się na mnie, patrzą jak na wilka jakiego. Tyło idę bez cmentarz i przechodzący kiele gromadki chłopaków, słowo usłyszałem takie niedobre, co mi znowuj nogi odjęno... Bożeć ty mój jedyny, ratuj mnie, myślę i oczu podnieść nie śmiem.

— Przychodzę do dom, tatuś jak raz byli; tak i tak powiadam, zohydił nas na nic, pójdę i pogadam z nim chyba?

— Dawnoby trza, tatuś powiadają, tylo bądź ostrożny, bo lichogo wie, co i z tobą jeszcze zrobi.

— Gorzej nie zrobi, jak zrobiuł, mówię i idę; wodą święconą na drogę się przeżegnałem; na Maryś krzyknąnem nawet, bo uczepiła się, jak pijany płota: »nie idź i nie idź, niech go psy zje-



dzom, powiada, nie wiedzom ludzie, to się dowiedzo, ze nicegoj z nim nie mas«. Poszedem i powiedziawszy pochwalonego, od razu mu powiadam:



— Je jenteres do was, Mateusu, chciałbym pogadać z wami.

— Ano gadaj, mówi.

— Jenteres taki, ze chciałbym pogadać dobrze i na osobności i to zaro.

— Zmieszał się i widno domyślał jakiś jentes, bo powiada:

— A to pódziwa na podwórze.

— Na podwórzu nijako, mówię, ludzie chodzą, zaglądują, pódziwa w pole.

— Ale ja mu to powiedziałem, a on spojrział na mnie z podełba i widno pomyślał coś niedobrego, bo mówi: niech i tak będzie, tyło posiedź tu trocha, ja pójdę do sumsiada i niedłuzko wrócę.

— Wrócił prawda zaro, wyśliśwa i idziwa za gumna w pole, a za polem niedalecko i las się zacyna. Tyło prześliśwa gumna, za stodołom mateusową stoi i ten sumsiad jego, Walek się nazywał, chłop tyz nieprzyjemny i przyjaciel bratowy wielki. Brat, jak go obacuł, uśmiechnął się tyło do

siebie, a uśmiechnąn jakoś nieprzyjemnie. Ciarki prześli po mnie, widno prawda, co ludzie gadajom, myślę i chmurny idę, i nie gadam wcale, bo Walek tyz idzie.

— No, Macieju, gadajze, coś miał gadać, mówi Mateus i jakby z drwinami patrzy na mnie pewny siebie.

— Jesce nieprzyjemniej mi się zrobiło jesce markotniejszy idę z nimi. I tak przychodziewa do lasu, ale w lesie brat mój obcesowie zacyna i kózne to słowo pamiętam:

— Ha, powiada, miałeś ty ze mną o cemści gadać, a widno mnie gadać wypadnie. Ot, powiada, moze i dobrze ześ przyśed do mnie, posłuchajze dobry rady; widno, źle się mas ze swe-

go psiego latania, boć, słyse, ni-jok pies latas kiele dwora. Ja ci taki jenteres nasykuję, ze nie na rok, nie na dwa, profitu zbierzes, a i ja zarobię: kolenista niemiec, co w ty kolenii siedzi...

— Więcy nie słyssałem, a on, widno, nie patrzył na mnie, gdy to gadał, boć gdyby był spojrział nierozumny, toby był ucik ode mnie... Krew mi buchła do głowy i zbiegła wraz ze mnie, buchła znowuj i jak zwierz dziki zarycałem, i skoculem na nich... Mówić nie mogem.... siłę tylo miałem strasną... Zwinąłem mu obie ręce w tył jak śnurki, wziąnem w lewą rękę i chwyciwszy go w pasie z tyłu, podniossem w górę; Walka za rękę i ścisną-

nem az kości zatrzescały, ale Walek stał jak nieżywy.

— Puściłem go; wyjęnem nóż, co zawdy wtedy w cholewie nosiłem i podałem Walkowi: Bij tu! zawołałem, lewym bokiem nastawiając Mateusa ku niemu.

— Uderzuł... nóż był tocony... wlaż po trzonek... krew strugom chlusnęła....

— Na drugi dzień już mnie wzięni.

— Ty pytajom?

— Jo.

— Za co? pytajom.

— Za to i za to, powiadom. Więcy o nic nie pytali... Pose-dem do katorgi na wiecne....

Patrzyłem na Macieja: blady on był jak trup, bielszy od ściany białej, przy której siedział,

rękami nie wymachiwał, tylko palce jego poruszały się konwulsyjnie.

I przykro mi było, że mi go zmusił do przeżycia sceny strasznej, i wyrzucając to sobie, spojrzałem mu w oczy, ale spojrzawszy, zbladłem sam teraz: na mnie patrzyły też same oczy, którem widział po raz pierwszy w Jakucku w czasie opowieści pana Jędrzeja: oczy czyste i jasne, jak woda kryniczna, niewinne i spokojne, jak oczy dziecięcia.



A na dworze szalały wichry północne, kłębiła się śnieżycą gwałtownie. I straszno mi było, gdy wracałem do domu pustym wybrzeżem Leny, przez bezludne

ulice nędznej mieściny. Szalone zapędy wichru odbijały się we wnętrzach tajgi, okalającej kotłownię, jękiem przerażającym i jękiem tym gnany, biegłem przez zasy śnieżne pośpiesznie.

Noc ta jednak straszną mi była i w domu. Wicher wył około ścian jeszcze przeraźliwiej, tajga jeszcze żałośniej jęczała. I gdym zmęczony zrywał się z łóżka, biegł do okna i przykładając rozpalone czoło do szyby zamarzłej, przysłuchiwał się nieprzytomny prawie owym głosom dzikim, słyzałem, jak gnane silniejszymi porywami wichru owe jęki z tajgi wychodzące, zlewały się w jeden jęk błagalny: »O Najwyższy, o Przenajświętsza!«

ANULOWANO







## SPIS RZECZY.

Dwie modlitwy . . . . .	1
Srul z Lubartowa . . . . .	81
Maciej Mazur . . . . .	119

---













Biblioteka UJK Kielce

**UJK**



0460253

26819